



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebów i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

(Z dzieła premiowanego na konkursie przez Redakcyę „Bluszcza“ ogłoszonym)

przez

Zofią Kowerską.

I

Prawda.—Sumienie.—Honor.—Szczęście.

Ktoś nazwał prawdę słońcem moralnem i nazwa ta wybornie charakteryzuje jej naturę. Nauka dąży do odkrycia prawdy; wszystkie jej dociekania prawdę mają na celu; nawet hipotezy uczone są prawdą względną; świat myśli, uczuć, bezwiednie ciąży ku niej—ona jest atrakcyjną siłą i jednym z czynników ruchu umysłowego.

Mniemam, że kłamców dlatego jest tylu na świecie, że, nie dotknawszy nigdy ustami rozkosznego źródła prawdy, nie wiedzą, ile mieści ona w sobie słodczy i pokrzepiających własności. Przyzwyczajeni od dzieciństwa do kłamania przed sobą i drugimi, nie wiedzą, jakiej wewnętrznej szczelności przyczyną jest prawda. Od nas zależy, by naszym dzieciom dać zakosztować jej urok, by go wyssały z mlekiem matki, poczerpnęły z przykładu i atmosfery moralnej, jaką je otoczymy; by usta nasze, oczyszczone, jakby ognistym cheruba kamiem, były dla dziecięcia organem prawdy bezwzględnej. Słowa są myślami i uczuciami pod postacią żywą, są jakby zdawkową monetą skarbnicy moralnej, jaka w nas spoczywa; by jednak nie zamieniły się w nędzny, fałszywie dźwięczący

aliaż, trzeba skarbnicę oczyścić z tego wszystkiego, co może szczere złoto zaśniedzić.— „Oczyszczenie domu“—woła ksiądz Robak do współobywateli. Na każdą matkę takby należało zawołać. Tak, oczyszczenie domu z fałszu, obłudy, zarówno z większego, jak i najdrobniejszego kłamstwa, bo jeżeli małe dziecko już kłam w życiu i słowach rozeznac umiało, podrastające chłopię dosłodzi wszystkich jego odcieni; nauczy się na przykładzie rodziców wypaczać własne uczucia.

Przez takie w młodości przyzwyczajenie myśl i wogóle moralna strona nasza tak chronicznie słabą i nielogiczną się staje, że już fałsz i prawda przestaje dla niej dwa oddzielne pojęcia stanowić i zlewa się niejako w coś pośredniego, zawsze gotowego do ustępstw, a co by można nazwać rozluźnieniem sumienia.

Tylko dom rodzicielski może dziecku dać przykład prawdy, jako zasady życia i prawdomówności czystej a odważnej. Szkoła, świat, towarzystwo, raczej zepsuć, niż korzystny wpływ pod tym względem wywrzeć mogą. Dostatek jest przypatrzeć się im bliżej, by dojść do tego przekonania. Panuje tam co najwyżej zasada Lykurga, potępiająca tylko niezręczne kłamstwo, takie, które pozorów prawdy przyjąć nie może. Czystej miłości prawdy tylko w rodzinie można zaczerpnąć. Rzadki, jak Alcibiades, na swej drodze Sokratesa napotka.

Od ogólników pozwolę sobie zejść do zastosowania, do niektórych przypadków, stanowiących punkt sporny pomiędzy wychowawcami. Jednym z takich jest kwestya: czy dziecko należy chować w zupełnej niewiedomości środków, jakimi w przyszłości rozporządzać może, czy też mu je wyjawiać, skoro tylko będzie w stanie to pojąć? Czy mu powiedzieć: — Będiesz kiedyś bogate, jesteś piękne, jesteś zdolne, masz talent; lub też chować je w niewiedomości tych darów z obawy, by nie urosło w pychę, zarozumiałość i próżność? Otóż ośmielę się powiedzieć stanowczo, że jak we

wszystkiem, tak i w tym względzie, prawdą tylko rządzić się trzeba.

Gdyby mnie zapytano: jakie warunki najkorzystniej wpływają na wychowanie dziecka?—odręklabym, że mierność majątkowa i powierzchowność, ani piękna, ani brzydka rażąco; że jednak przepis ten do wszystkich zastosować się nie daje, więc trzeba brać dziecko jakim jest i w kole, w jakim przeznaczenie je umieściło. Ubogie, widzi od urodzenia ciężką pracę rodziców, wysilenia nadludzkie matki, żeby dom i ubiór dziecinny był czysty; jej oszczędność, jej genialne pomysły, by obiad jaknajtańszym kosztem uczynić smacznym, by ojciec spracowany mógł mieć kawałek pożywnej mięsa; widzi nieraz ojca z ząbionym czołem, pogrążonego w myślach i wie, że je troska o chleb sprowadza; wie od najmłodszych lat, że jest członkiem rodziny biednej; jemu więc o tem mówić nie potrzeba.

Pragnęłabym jednak dla moralnego dobra dzieci, by ubóstwo nie było owem połączaniem ubóstwa, oszukującym innych, a uczącym dzieci od urodzenia próżności, fałszu i obłudy, tym razem najbardziej poniżającej osobistą godność człowieka. Niech uboga matka nie wstydzi się swego ubóstwa, niech je nosi z godnością i nie myśli, że ukrywanie go kosztem prawdy, szlachetną dumą nazwać się może. Nic strasniejszego nad nędzę złoconą, bo się pod nią moralnej nędzy domyslać należy, bo za nią kryją się niezaspokojeni wierzyciele, lzy i przekleństwa ludzkie; kryją się niesnaski rodzinne, wykręty, podstępne kłamstwa i niedotrzymane zobowiązania.

Takie przykłady zabijają w dzieciach uczucia osobistej godności i sprawiedliwości i nie są tak rzadkie, jakby się to zdawało, a trafiają się zarówno pomiędzy obywatelami ziemskimi, jak i mieszczańcami miast, którzy nie umieją sobie odmówić wygod i przyjemności, na jakie ich stan majątkowy nie pozwala. To też, oile ubóstwo, noszone z godnością, obudza mimowolny szacunek i korzy-

stnie wpływa na charakter dziecka, o tyle złocona nędza najgorszy wpływ wywiera na każdego z tych niewinnych aniołków. Poza nieuczciwością i niesprawiedliwością chowa się zawiść, zazdrość, nieżyczliwość, pragnienie dóbr, zbytku i używania.

Na bogatszego od siebie człowieka dziecię uczy się patrzeć z nienawiścią i zazdrością, a za tem zaraz idą niezdrowe marzenia, i bogactwo staje się celem życia, do którego, by dojść, wszystkie środki są godziwe. O, biedna matko! która musisz ochraniać dziecię przed tak zgubnymi wpływami, jeżeli ojciec przykładem je psuje! Czyni, co możesz, by je wyrwać z przepaści; wszystkimi sposobami przeciwdziałaj zgubnemu wpływowi! Niech tylko ciebie dziecię nie schwyta nigdy na kłamstwie. Mów z niem otwarcie, że wierzytel oja jest człowiekiem, który wyświadczył dogodność, pożyczając pieniędzy, że teraz, upominając się o ich zwrot, jest w swoim prawie; że jeżeli ojciec oddać mu ich nie może, to jednak słuszność wszelka leży po jego stronie. Jeżeli dziecię jest już w stanie to zrozumieć, możesz dodać, że gdyby ojciec nie mógł zwrócić wierzytelowi pieniędzy, to ono, gdy dorosnie, powinno łopoty pracować, dopóki nie zbierze potrzebnej sumy na jego zaspokojenie.

Gdy matka jaki grosz zaoszczędzi, może w obecności dziecka włożyć go do szufladki i powiedzieć, że jest to drobiazg w porównaniu do zaciągniętego długu, ale i ten grosz przeznaczaj na jego spłacenie i nie pozwól sobie żadnego niepotrzebnego wydatku, żadnej przyjemności, bo pieniądze ten do wierzytela ojcowskiego należy.

Drugim wpływem, wynikającym z życia nad stan, a szkodliwie oddziaływającym na dziecko, jest przyzwyczajenie go do wygod i trybu niezastósowanego do majątkowego położenia, w jakim prawdopodobnie się znajdzie. Gdy dorosnie i samo sobie zostawionem już będzie, nie mu się nie wyda godniejszym pożądaniami, jak owe wygody, w jakich żyli rodzice, i powiększy falangę pieczeniary, oszustów, wydrwigroszów i tych ludzi niepewnego rzemiosła, którzy niewiedzą z czego żyją, a jednak jadają zawsze najdroższe nowalio i palą najlepsze cygara. Los córek może być jeszcze gorszy, a sposób dostarczania sobie wygod życia jeszcze smutniejszy. Niezadowolone, jakie się spostrzega w nowoczesnych pokoleniach, wypływa z potrzeb, wzrastających w stosunku większym, niżeli wzrastają środki dostateczne do ich zaspokojenia. Dlatego danie jak najmniej zbytkowych wymagań ochrania wychowanka od chorobliwego niezadowolenia.

Miernosc uczeiwa, na bogactwo niepozująca, niewiele zostawia do powiedzenia. Dziecię najkorzystniej wśród niej się rozwija; matka największej zwykle mu się oddaje, bo ani wymaga życia wielkoświatowego, ani ciężka praca na chleb od domu jej nie odrywa.

Dziecię bogatych rodziców powinno wiedzieć, że jest bogatem; ale bogactwo owo niech mu będzie na każdym kroku przedstawiane jako rzecz wielkie obowiązki na człowieka nakładająca.

Niech pamięta, że od bogatego człowieka więcej się wymaga, niż od ubogiego; że mając środki potemu, więcej doskonalić się winien; że sam Chrystus powiedział: iż bogacz trudniej, niż ubogi do królestwa niebieskiego się dostaje; i że jeśli ubogi żadnych obowiązków, prócz miłości bliźniego, względem bogacza nie ma, bogacz ma ich względem ubogiego tysiące. Niech zresztą oswaja się z tą myślą, że w naszym kraju wiele jest do zrobienia, że bogatemu następcza się wiele przedsięwzięć, w które włożony pieniądz, przy umiejętnym kierunku, przyniesie, zarówno jemu, jak i pracownikom, nieobliczone korzyści. Również bogata w przyszłości panna powinna mieć poczucie szerszych obowiązków zaszczerpione z dzieciństwa. Niech jej za wzór służą dawniejsze matrony, co wkoło siebie rozlewały wpływ dobroczynny na wszystkich, przestrzegając czystości obyczajów, miłując wszystko swojskie. Niech wie zresztą, jak za granicą i u nas kobiety rozumne i duchem obywatelstwa ożywione wspierają swym majątkiem i wpływem literaturę i sztuki, jak zasługują się krajowi, stojąc na czele opiekuńczych i dobroczynnych towarzystw. Zbytecznem byłoby mó-

wić, że przykład winien tu współdziałać ze słowami, bo czyn zawsze od nich jest wymowniejszy.

Prawda, wydająca mi się być najcenniejszym środkiem wychowawczym, którego pominięcie zawsze szkodę przynosi, nie powinna powstrzymać matki od powiedzenia dziecku, że jest piękne, jeżeli niem jest wistocie, a nie tylko w jej wyobrażeniu. Piękność zresztą nie jest rzeczą, którąby się ukryć dała; dziecko zdobędzie prędko przeświadczenie o niej; oświecają je co do tego spojrzenia, niebaczne słowa obcych; wyjawia mu ją zwierciadło i matka udająca, że piękności dzieci nie widzi, prędko przez nie o obłudę posądzoną zostanie. Może więc, a nawet powinna mu powiedzieć, byle ze spokojem, poprostu: — Bóg dał ci ładną powierzchowność; tak jakby mówiła: że słońce świeci, lub deszcz pada; niech następnie doda, że piękność zależy od gustu i że się często ją traci.

Gdy dziecię jest nieco starsze, matka winna mu wyjawiać obowiązki, jakie nań spływają z tym darem piękności. Może mu powiedzieć, że jeżeli dziecko garbate, lub pod innym względem upośledzone fizycznie, może być skwaszone, patrząc na innych z zawiścią i zazdrością; to dziecię piękne powinno czuć wdzięczność dla Boga, że je czynił miłym i powabnym dla oka innych ludzi, że mu dał powierzchowność, od której wzrok nie odwraca się ze wstrętem, ale owszem z upodobaniem na niej spoczywa; że jest to jednak dar o tyle cenny, o ile odpowiada mu piękność duszy, dobroć serca; o ile nie oszukuje wzbudzonej sympatii, ale owszem stwierdza ją przez odkrywanie, przy bliższym poznaniu, przymiotów serca i umysłu.

Chłopcu powiedz, że piękność w mężczyźnie, jest mało cenionym darem, że niewiele może mu dopomóc do świetnego ukończenia nauk, lub w jakimkolwiek zawodzie, w którym tylko zdolność, nauka i praca pozyskuje uznanie, i że raczej szkodę, niż korzyść przynosi, jeżeli z innymi przymiotami nie idzie w parze, bo zwraca oczy na nicosć moralną, pięknymi przyodzianą kształtami.

Dziewczynkę starajmy się zachwycić obrazem pięknej powierzchowności, połączonej z piękną duszą i wskażmy jej zasługę, jaką może mieć osoba piękna, jeżeli sympatią, jaką sobie zjednywa, wyzyskuje dla dopięcia wyższego, moralnego celu, zapalając umysły ku wszystkiemu, co piękne i szlachetne, co ku cnocie i spełnieniu wzniosłej jakiejś idei prowadzi.

Wistocie, do pięknej osoby wszyscy się garną i dziecię twoje dozna tego od najmłodsze go wieku, że ludzie będą brzydsze dzieci omijać, by się rozkoszować jego widokiem. Wcześniej bardzo dojdzie twoja pieśczośzka przyczyny tej różnicy, i jeżeli wmawiać jej będziesz, że niczem od innych dziewcząt się nie wyróżnia, sprawisz, że jej skromność będzie kłamaną skromnością, pod którą pycha nurtować zacznie, a dziecię przestanie ufać i wierzyć ci bezwzględnie, o co najusilniej starać się powinnaś.

Nie uznawszy piękności dziecka, nie będziesz mogła walczyć z egoizmem, który, jak utrzymują niektórzy badacze ludzkiej natury, bywa jedną z wad pięknych osób. — „Piękność“ — mówi jeden z nich — usposabia do uprzejmości, ale rzadko idzie w parze ze zdolnością do głębszych uczuć¹⁾. Piękna kobieta od dziecka przywyka do panowania, do odbierania hołdów, do grzeczności i usługowości mężczyzn, do tego, iż wszyscy przywiązują wagę do każdego jej słowa, a wszystko to wyrabia w niej śmiałość, zarozumiałość i egoizm.

Matka wyprzedzić powinna te wady i piękne dziewczę okryte puklerzem skromności w świat wprowadzić. Wszak i tak wiedzieć będzie, że piękność panowanie jej zapewnia, ale ustrzeże się hypokryzy — wady równie brzydszej, jak pospolitej.

W jednym tylko wypadku surowość prawdy powinna być przez litość i miłosierdzie złagodzona: a to w razie, jeżeli dziecię upośledzonym jest od natury. Każdy litościwy człowiek w stosunku z idyotą, postępuje tak, by nieszczęśliwego utrzymać w przekonaniu, że się niczem od innych ludzi nie różni; przy fizycznych niedostatkach i kale-

ctwach dzieci, tasama litość powinna łagodzić bolesną prawdę.

Byłoby nieludzką powtarzać bezustannie garbatemu dziecku, że życie jego wyjątkową koleją nieszczęścia przebiegać musi, że widok jego jest wstrętny dla oka, że gdzie się obróci, śmiech złośliwy, lub politowanie obudzić musi. Takie postępowanie napełniłoby żółcią serce nieszczęśliwego dziecka, zrobiłoby je do zbytku nieśmiałym, bojącem się śmieszności, stroniącym od ludzi, obrażliwym; i niebawem kalectwo fizyczne musiałoby wykrzywić moralną stronę człowieka. Niestety! samowiedza wyjątkowego położenia przyjdzie dla niego przy starciu się z ludźmi; zawsze jednak delikatność i litość dobrych sprawi, że nieszczęśliwy nie poczuje całego ogromu swego nieszczęścia i, jeżeli podejrziliwość nie zostanie w nim rozbudzoną wychowaniem, nie jeden uśmiech złośliwy ujdzie jego uwagi; nieśmiałość nie zabije w nim przymiotów towarzyskich, które każą zapomnieć o jego wstrętnej powierzchowności.

Jeżeli obowiązkiem matki jest dać każdemu ze swych dzieci to, na co jej serce, praca, poświęcenie zdobyć się może; to upośledzonemu od natury, podwójną miarą wydzielać wszystko powinna. Nie mówię, by dla niego miała być słabą aż do zaniechania środków karności, gdy tego się okaże potrzeba; ale, by jej macierzyńska opieka umiała je skutecznie osłaniać przed upokorzeniem, cierpieniem miłości własnej i przyszłością tem, co, wsączając po kropli gorycz w jego serce, zabiłoby w nim spokój, ufność w siebie i miłość bliźniego.

Sposób obchodzenia się z takim dzieckiem, niech będzie necechowany przezornością i delikatnością siostry miłosierdzia, która wie, jak miejsca zranionego dotykać, aby, o ile można, oszczędzić cierpienia choremu i resztę organizmu w stanie zdrowia utrzymać. Dlatego, jeżeli rodzice kaleki mają środki wychowania go w domu, nie radziłabym oddawać chłopca do szkół publicznych, dziewczynki na pensję; bo tym sposobem rzucą ich na pastwę sztyderstwa dzieci rozmaitego, często bardzo zaniedbanego, wychowania, zatem niemających względu dla biednego kaleki.

Tejsamej, umiejętnej a litościwej, troskliwości, potrzebują także umysłowe upośledzenia (nie mówię tu już o zupełnym idyotyzmie). Mówię dziecku pozbawionemu np. pamięci i zdolności, że nie jest ono w stanie nauczyć się niczego, że nie nigdy umieć nie może; że między rodzeństwem i towarzyszami jest parą umysłowym: znacząco by to zabić w niem wszelką ochotę do zdobycia pracą choćby małych okrucich wiedzy, pozbawić je nazawsze szlachetnej ambicji, oraz pragnienia przełamania trudności z braku uzdolnienia wynikłych. I tu matka podwójną miarę trudu podjąć powinna, by wybrać dla dziecka najstosowniejsze pole do pracy, by je zachęcić, wesprzeć, umocnić, nie paraliżując jego usiłowań przez własne zniechęcenie się do bezowocnego nad niem trudu. Jeżeli dziecko samo brak zdolności w sobie poczuje, niech mu to bolesne przekonanie gorącym współczuciem osłodzi. Niech powie: — „Nie masz zdolności, moje dziecię, ale praca wiele może, zwycięża ona największe trudności. Zresztą nie tylko człowiek uczony jest pożytecznym obywatelem kraju, dobry rzemieślnik przynosi mu też korzyść i zaszczyt.

(Dokończenie nastąpi).

ADRYAN BARANIECKI.

Muzeum techniczno-przemysłowe i wyższy zakład naukowy dla kobiet w Krakowie.

(Dokończenie).

III. Wydział sztuk pięknych.

Wydział ten zostający od roku 1874 pod osobistą opieką i kierunkiem Dyrek. szkoły sztuk pię-

1) Mme de Rémusat: Essais sur l'éducation des femmes.

nych, J. Matejki, dzieli się na dwa oddziały: niższy i wyższy. Niższy zajmuje się głównie ćwiczeniami w rysunku (w przeciągu 190 godz.), wyższy zaś oprócz rysunków i malarstwa (około 260 godz.) miewa jeszcze wykłady (78—90 godzin) niezbędne dla zawodowego, artystycznego wykształcenia kobiety.

Wykłady są głównie stałe, a ponieważ od założenia muzeum wykładający prawie się niezmienili, dlatego wyliczymy ich według programatu ostatniego (1880—81). Docent Uniw. Jag. Dr J. Kopernicki wyklada „Naukę o budowie i proporcjach ciała, o kształtach zewnętrznych, o postawach i ruchach, jakoteż o układzie rozmaitych jego części w chwili danej akcyi”. Prof. inst. techn. przem. J. Rotter, perspektywę artystyczną. Prof. inst. techn. przem. arch. H. Lindquist „Historię sztuki”. Architekt J. Wdowiszewski „Technikę i historię wyrobów artystycznych”. Prof. inst. techn. przem. arch. S. Odrzywolski: „Teorię ornamentacji”. Prof. szkoł. real. Dr D. Wierzbicki „Geometrię i rysunki geometryczne” oraz „Zastosowanie rysunków geometrycznych do rysunku technicznego, przemysłowego wraz z nauką o cieniach”.

Oddziałów rysunków wolnорęcznych jest pięć. W pierwszym oddziale olejnego malarstwa i rysunków z gipsu i martwej i żywej natury udziela p. H. Lipiński; w drugim oddziale rysunków z wzorów i gipsu—p. J. Siedlecki; w trzecim rysunków z wzorów i gipsu—panna Leonia Bierkowska (dawna uczennica zakładu); w czwartym krajobrazów z wzorów w zimie kierujący poprzedniemi oddziałami, w lecie zaś osobny nauczyciel; w piątym (oddział rysunków niedzielnych) ze wzorów i gipsów—panna Karolina Bierkowska (dawna uczennica zakładu). W roku zaś bieżącym dla pań poświęcających się malarstwu olejnemu otwarto oddział kompozycyjny pod kierunkiem H. Lipińskiego.

W b. r. została również otwarta szkoła rzeźbiarstwa dla pań, w której udziela modelowania w glinie artysta-rzeźbiarz p. Stanisław Lipiński.

W oddziale drzeworytniczym udziela drzeworytnictwa (przez 160 godzin rocznie) p. Xawera Chlebowska. Kaligrafii ozdobnej p. L. Peszkowski.

Wspomniałszy krótko o zakresie tego wydziału, niechaj nam wolno będzie jeszcze kilka słów poświęcić zbiorowi środków pomocniczych, służących dla pracowni na tem polu. Pominąwszy wielkie bogactwo wzorów, między którymi szczególniejszą uwagę zwraca dziewiętnaście albumów Goupilowskich, oraz akwarelle Hildebrandta; podziwiać musimy świetny zbiór gipsów w zakresie ornamentyki, reprezentowany przez odlew muzealne ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu¹⁾. Nic też dziwnego, że przy umiejętnym kierunku dyrektora zakładu, oraz wobec takiego bogactwa środków, ułatwiających samą naukę, prace uczennic zostały nagrodzone medalami na powszechnych wystawach, a mianowicie medalem brązowym na wystawie wiedeńskiej (1873), srebrnym na paryskiej (1878). Brak tylko wielkiego miejsca, z którym cały zakład najwięcej ma do zwalczania, nie pozwala na tak świetny rozwój wydziału sztuk pięknych, jaki byłby możliwym. Szczególniej na studia kolorytu przy malarstwie olejnym nie może dodatnio wpływać niezupełnie odpowiednio oświetlenie, będące najpierwszym skutkiem ciasnoty samej sali rysunkowej.

IV. Wydział handlowy.

Początkowo wydział ten był połączony z kursem nauk handlowych dla mężczyzn, ponieważ jednak połączenie to okazało się niepraktycznym, dlatego też kurs dla kobiet ogłoszono osobno. Niestety! mimo dosyć stosunkowo wielkiej ilości uczennic, uczęszczających na wyżej wspomniane wydziały, ten pod tym względem nie jest tyle szczęśliwym, często nie dochodząc na wydziale tym wykłady do skutku li tylko dla małej ich liczby. Brak

bowiem środków zmusza dyrektora do oznaczenia minimum słuchaczy (dwanaście uczennic), nie podobna bowiem dla kilku utrzymywać całego wydziału, tem bardziej ze strony, któreby istnienie tych kursów interessować powinno, na kilkakrotne wzmianki ze strony dyrektora nie pośpieszają wcale z pieniężnym wsparciem tego nader pożytecznego dla kraju wydziału. Kursa rokrocznie rozpoczynają się tylko wtedy, gdy zbierze się przynajmniej dwanaście uczennic. Przedmiotami wykładanymi są: Rachunkowość handlowa wraz z nauką o miarach i wagach, prowadzenie ksiąg handlowych pojedyncze i podwójne, wraz z nauką o wexlach i korespondencyą handlową.

V. Wydział gospodarczy.

Wydział ten pod względem ilości uczennic stojący nieco lepiej od handlowego, mimo usilnego wpływu samego dyrektora zakładu, który, mając na celu wykształcenie w całym tego słowa znaczeniu użytecznych kobiet dla społeczeństwa, zrozumiał głębokie znaczenie tegoż, nietyle jest uznanym przez młode uczennice ile nim być powinien w rzeczywistości.

Przyczyna tego leży może w samym braku czasu; zwykle bowiem w przeciągu roku lub lat dwóch chcieliby wszystko poznać, wszystkiego się wyuczyć: na pierwszym więc miejscu muszę stanąć rzeczy nieznanne, wpołznane odkłada się na później, li tylko dla braku czasu. Niestety, rozumowanie takie jest bardzo niedobrem, wyklucza bowiem gruntowne poznanie przedmiotu, który przyszedł do domu daje pomoc w umiejętnym pokierowaniu i podniesieniu gospodarstwa domowego.

Na wydziale tym odbywają się wykłady następujące: sadownictwo, ogrodnictwo warzywne, kwiatowe, jedwabnictwo, pszczolnictwo, technologia domowa, rachunkowość i prowadzenie ksiąg gospodarczych, w miarę zebrania się odpowiedniej ilości uczennic. Z wykładów zas stałych p. Ryx, członek towarzystwa rolniczego, czyta gospodarstwo domowe kobiece, poprzedzone krótkim zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogólności.

Oprócz nauk wykładanych na tych pięciu wydziałach rozpoczęcie lekcji języków: polskiego, francuskiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego zależy od zapisu uczennic.

Przyjrząwszy się szkicowi działalności zakładu naukowego przy muzeum techniczno-przemysłowemu, niechaj nam wolno będzie rzucić okiem na ogólny kierunek wszystkich tych wykładów. Przeważna ilość uczennic, przyjeżdżająca z poza granic Galicji i Krakowa dla ostatecznego wykształcenia się w Muzeum dra Baranieckiego, nie szuka nauki dla chleba, dla utrzymania codziennego, lecz czerpie z tego kielicha wiedzy li tylko dlatego, aby umiejętnym wykształceniem przygotować się do życia i jego zadań w przyszłości. Zdawałoby się więc, że nauki wykładane w muzeum zadawalniały się li tylko tym kierunkiem, pomijając nauki fachowe. Że tak nie jest, o tem się później przekonamy, a zresztą nauka prawdziwie pojęta, nie dla rozrywki, zadowolenia próżności, gonięcia za oryginalnością, mimowolnie wlewa w nasz umysł światło prawdziwego poznania, uzbrajając przyszłość, nietylko umiejętnością życia, lecz i sposobem do życia.

Jednostronnie na wzór mekskich szkół odwzorowane programy innych zakładów dla kobiet, nie odpowiadając wcale szybszemu rozwojowi umysłowemu, nader żywemu pojęciu i zwykłej bystrości kobiet, wiążą ducha w ciasnych ramach przedmiotu, nie pozwalając wyrwać mu się z okowów ciężącego systematu. Ci, którzy nie chcą lub nie mogą zrozumieć głębokiego znaczenia programatu wykładów w muzeum krakowskim, robią czasem różne zarzuty, których część jednak jest dowodem słabości i nierozwinięcia myśli, część zaś, jak wszędzie, tak i tu, spada na uczennice, niezawsze starające się z równą gorliwością o zrozumienie wysokości i celu nauki. Oprócz wyższego wykształcenia naukowego, jakie nam dają przeważnie dwa pierwsze działy, mamy jeszcze trzy inne, z których pierwszy jest na pół w kierunku praktycznym prowadzony, dwa zaś pozostałe już

potrzebują w życiu pracowitem i dać zarobek uczciwy potrzebującym. Kilka już nawet uczennic wydziału sztuk pięknych, li tylko korzystając z nauki muzealnej, wykształciły się tak wysoko, że prace ich w kraju i zagranicą zwracają uwagę znawców, a więc i znajdują nabywców. Z rzeczy ściśle zawodowych drzeworytnictwo odniedawna rozpoczęte zaczyna już wydawać bujne owoce, które mogłyby być jeszcze bujniejszemi, gdyby uczennice zechciały więcej czasu, kilka lat, poświęcić temu kunsztowi.

Najlepsi z professorów krakowskich poręczają swą nauką powagą umiejętność i ścisłość wykładów; obfite środki ułatwiają naukę: czegoż więcej żądać, okrom pilności i pracy samych uczennic? Szkoły nauki wyższej nie dają, wprowadzają nas tylko w olbrzymie gmachy pracy wieków, wskazują co wyższe, budzą ducha, zapraszają do pracy, zachęcają,—ułatwiają. Od nas samych zależy zrozumienie celu nauki i umiejętne wykształcenie się. Ręka troskliwego nauczyciela prowadzi uczniów przez wielką galerię wiedzy, w której należy im samym chwycić promyki światła i przyswajać je sobie, nietylko wszakże w pojedynczych jej punktach, lecz i w tej wielkiej nici, która wiąże całość.

W ostatnich latach uczęszczało do muzeum rocznie mniej więcej sto trzydzieści do stu czterdzieści uczennic, z tych czterdzieści do pięćdziesięciu na oddziały rysunkowe.

Do zakładu przyjmują się na wykłady uczennice mające szesnaście lat skończonych, na oddziały zaś rysunkowe i młodsze panienki. Wszystkich uczennic wpisanych do dzisiejszego było przeszło tysiąc osób; wykładających i nauczających w ostatnim roku szkolnym było dwudziestu sześciu, z tych jedenastu professorów i docentów uniwersytetu, dwunastu professorów z innych zakładów naukowych i prywatnych osób, oraz trzy nauczycielki (wychowanki muzealne). Examina wprowadzone są jedynie dla tych pań, które życzą sobie mieć świadectwa z uczynionych w zakładzie postępów. Wykładów i lekcji dla kobiet w ciągu dwunastu lat odbyło się przeszło trzysta tysięcy godzin. Zakład utrzymuje się częścią z opłat uczennic, w części z własnych funduszy dyrektora zakładu. Opłata na wykłady wynosi za każdy wydział po trzysta złr. na kwartał (mniej więcej za 120 prelekcji).

Na oddziałach rysunkowych od pięciu do dwudziestu złr. kwartalnie, stosownie do oddziału, na jaki jest zapisana uczennica. W ogóle płatnych uczennic jest około 85 do 90.

Rozpatrując bogate środki nauki, jakimi rozporządza ten zakład, sam wybór professorów i stosunkowo małe opłaty, musimy rozwiązać sobie zagadnienie, dla praktycznego matematyka nader trudne: z kąd biorą się fundusze na to wszystko? Jedyną subwencją jednorazową, jaką zakład otrzymał przez cały czas swego istnienia, jest 400 złr. od ministerium handlu po wystawie wiedeńskiej, na potrzebne dzieła i środki pomocnicze naukowe. Czytelnicy już wiedzą, że dyrektorem zakładu jest dr. Adryan Baraniecki: nazwisko to rozwiązuje nam owo nader trudne matematyczne zagadnienie: z kąd się biorą na ten cel wszystkie fundusze? Smutny to dla nas, bardzo smutny objaw, że cała praca dla dobra kraju, wszystko co wyższe, potężniejsze, zawdzięczamy, nie zrozumieniu rzeczy przez ogół, nie poświęceniu przynajmniej części narodu, lecz energii i pracy pojedynczych ludzi. Zapominają oni o sobie, nie widząc nic na ziemi innego, tylko jedną wielką myśl, poświęcają dla niej pracę całego swego życia, siły swe i majątek; a ogół zimny, nierozumiejący tych prądów wielkich idei, czerpie z ich pracy z taką obojętnością, bez zapytania: z kąd to się bierze, ile to pracy i sił kosztuje? że możnaby go posądzić o brak myśli i serca.

Wszystko to więc jest dziełem jednego człowieka, który, niedość jednak, że własnym trudem zakład ten utworzył i własnym kosztem utrzymuje, lecz jeszcze walczyć musi ustawicznie z niechęcią tych, których raczej najświętszym byłoby obowiązkiem wspierać myśl tak zacną. Tak! to dzieło jednego człowieka, prowadzone jego tylko siłami i energią. Czyż nie powinno nam być przykro, gdy czujemy jeszcze brak poparcia szlachetnych

¹⁾ Fotografie zbioru tego, dokonane nakładem p. A. Baranieckiego, są w handlu księgarskim. (Przyp: Aut.)

idei i wielkie niezrozumienie jednej z największych potrzeb kraju.

I. L. S.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Było coś tak błagającego w tym głosie, a to, o co prosił, tak dla mnie ponętnem!

Nie wiem, jak powróciłam do domu.

— „Nie umiem się oprzeć tej pokusie. Cóż mi tam? Niech ludzie mówią, że mam schadzki w Luxemburskim ogrodzie! Przeżyję chwil kilka jasnych, a gdy serce nadto bić zacznie i cierpieć, skażę siebie na wygnanie i tułactwo nowe.

Nie mam siły marzenia tego o szczęściu — odepchnąć. Jest-li to grzechem? On moim, ja jego nigdy nie będę. Wniosłabym w ten dom z sobą gorycz i żółć. My z sobą bylibyśmy może szczęśliwi, lecz inni? lecz rodzina jego? A! nie! nie. Nigdy. Dumną jestem wistocie, ale ta duma grzechem nie jest, i o jego spokój i szczęście mi chodzi. Ja dziś już — wydaję się jakąś awanturnicą.

Prześnim dni kilka, a potem — w świat! w świat! Mam już moje osnute plany.

Panna Isaac, którą spotykałam w galerii, dobra stara pannica, jedna z tych istot, co, choć ze sztuki żyją i niby żyją dla niej — bardzo się z warunkami chleba i wody rachować umieją, zarzucała mi, że we Florencji taniej się utrzymać można, a że tam jest co kopiować i cudzoziemców przebywa mnóstwo; żyć z tego nie jest niepodobieństwem. Klimat dosyć łagodny.

Ucieknę tam, ale tak, tak, żeby żywa dusza poszlakować mnie, wiedzieć o mnie nie mogła. I tam, na tym włoskim brzegu zgruchotana barka moja osiadzie na mieliznie.

— „Dwa dni nie miałam odwagi wychylić się do Luxemburskiego ogrodu. Z mojego okna widziałam go niewidziana, całe godziny niecierpliwie przechadzającego się około ławki mojej. Żał mi go było, niewdzięczna się czułam, chciałam wyjść, i siły mi brakło. Sitko drugiego dnia przybiegł wieczorem dowiedzieć się, a raczej naocznie przekonać, że nie była gorzej chorą.

Chorą się nie czuję — ale rozgorączkowaną; daję mi to siły, owsem, jakiś zapal — nie wiem, jakiegoż życia nowe.

— Wyszłam do ogrodu. Zastałam hrabiego już w nim. Zbliżył się z takim wyrazem radości i troskliwości, że miałam trudność ukryć w sobie, jak mnie tem poruszył. Zaczął od tego, że był przez dwa dni niespokojny.

Dobyl potem numer dziennika, w którym było sprawozdanie z wystawy, i podał mi je, zaznaczone ołówkiem. Zdziwiłam się, znajdując tam wzmiankę bardzo życzliwą o moich dwu obrazach, których ja przecież nie dawałam na wystawę.

Krytyk przyznawał mi talent niepospolity, technikę wielce wyrobioną, a nadewszystko poczucie natury.

Miło mi to czytać było.

— Panie hrabio — odparłam, oddając mu dziennik — mogę ja uwierzyć w te... pochwały, kiedy obrazów sama nie dawałam na wystawę? Ten przyjaciel, co się postarał, aby na niej się znalazły, mógł i łaskawego sprawozdawcę ująć dla nich!

Hrabia się oburzył.

— A, pani! — zawołał — ja w takie zakulisowe intryki, nawet dla uczynienia jej przyjemności, wdawać-bym się nie potrafił. Proszę mi wierzyć: krytyka jest wyrazem szczerzego uznania.

Nie jest-że to — orzeźwiającem?

— Nie przeczę — odpowiedziałam — ale jedna krytyka, jeden głos, to jeszcze — tak, jak nie.

— Pani zbyt jesteście wymagającą! — przerwał.

Nie chciałam już dalszego wieść z nim sporu. — Znowu wtedy wszczęła się rozmowa o kraju. Hrabia dowodził, że u nas dosyć jest jednego artykułu paryzkiego dziennika, aby z dnia na dzień zostać — sławnym.

Może to być. Bez tej sankcyi obcej nic u nas się nie wie, to prawda, ale!

Nie wiem, jak rozmowa się potem w niemiłym dla mnie kierunku rozpoczęła, o uczuciach, o sercu, o przywiązaniu.

Zygmunt utrzymywał, że duma w człowieku zabija wszelką nawet możność kochania; że od niej serce wysycha. Niewdzięczny! Mógł jednak czuć, że nie byłam i nie jestem dla niego obojętną — może aż nadto jawnie okazywałam mu to mimowoli.

Wiem, że mnie kocha — i on czuje, że muszę go kochać, choćby nie chciała; lecz — z tego marzenia złotego nigdy nic nie urośnie, nad suche wspomnienia chwil kilku.

Wyrzucam sobie słabość moją, i te przechadzki po Luxemburskim ogrodzie; lecz w życiu jedną jasną godzinę mieć — czyż mi się nie godzi?

Tak, jestem dumną, szanuję siebie, nie poddam się temu uczuciu, wczas potrafię pożegnać sny i powrócić do rzeczywistości.

— Tymczasem spotykamy się prawie wesoło. Rozmowy się toczą o rzeczach obojętnych, lecz dwoje ludzi, co się rozumieją i kochają, w najpospolitszej paplaninie wiele sobie powiedzieć mogą.

Wyrażnie mi dał do zrozumienia, że w wyborze żony jest zupełnie swobodnym, że rodzina żadnych mu przeszkód stawiać nie będzie, i że się nigdy nie ożeni bez serca.

Mówił mi, że ma obowiązki, że *noblesse oblige* i wielkie imię nie do niego samego należy, ale do kraju także, do przeszłości; że jemu się dla siebie żenić, ani żyć nie godzi.

Sprzeczałam się do to długo.

Za każdym widzeniem się wymaga odemnie słowa, że mu wrócić będzie wolno; każdego dnia ja chcę zerwać te schadzki — a! słabą jestem.

Powiedziałam mu dziś żartem, że wreszcie przechadzki nasze mogą mnie podać w podejrzenie, jakobym go uwieźdź pragnęła.

Zarumienił się mocno.

— Lecz, wierz mi pani — zawołał, że ja niemi tylko żyję i gdyby mi ich zabrakło...

Zwróciłam niebezpieczną rozmowę.

Jestem rozmarzoną, słabszą, samej siebie się lekam — czas to przerwać, czas uciekać. Upajają sny złote, jutro zapóźno być może i powiedzą, że awanturnica jakaś Zygmunta opanowała.

Sitko mnie szpieguje. Będę miała nadzwyczajną trudność opuszczenia tak Paryża, aby za mną nie gonili.

Jest sposób inny zerwania tego stosunku, który — musi być zerwanym.

— „Prosper, po dwudniowej niebytności mojej w ogrodzie, znowu się zjawil, zaniepokojony o zdrowie moje.

— Kochany przyjacielu — odezwałam się do niego — nie lódz się. Jesteś poczciwym, dobrym druhem dla hrabiego Zygmunta i dla mnie, ale położenia naszego nie znasz. On się zemną ożenić nie może, a ja wyjść za niego.

— Dlaczego! — wykrzyknął Sitko. — On jeden jest pani godnym. Kocha ją, a — słowo daję — dokończył — nie pojmuję, byś pani mogła go niekochać.

Zarumieniłam się i rzekłam:

— Gdyby nawet tak było — to co! Pan nie znasz stosunków familijnych i sądzić nawet nie możesz, co nas dzieli.

— Duma! duma! — powtórzył Prosper za swym przyjacielem.

Obróciłam rozmowę w żart.

— Wiesz, panie Prosperze — odezwałam się, — gdybyś pan się we mnie zakochał — za niego-bym wyszła. Wyświadczyłbyś przysługę swemu przyjacielowi, zmuszając go w ten sposób do wybicia sobie z głowy rzeczy niemożliwej.

Sitko zerwał się z krzesła.

— Co pani mówisz? — zawołał — żartować tak się nie godzi. Pani sądzisz, że ja byłbym zdolnym tak zdradzić, tak zawieść tego człowieka.

— No, i taką nudną wziąć żonę — dodałam — pseudo-artystkę z pretensjami, ex-hrabiankę, w dodatku chorą i do niczego niezdatną.

Ale wiesz co, p. Prosperze, pomimo to wszystko, byłabym żoną bardzo dobrą, łagodną i poczciwą.

— Herezye! — zakrzyczał Prosper. — I pani sądzisz, że jabym — taki robak mizerny, śmiał podnieść oczy do takiego ideału — odważyć się... To by była profanacya!

Zaczęłam się śmiać i — jak umiałam żartować, namawiając go do ożenienia się.

Wyszedł przekonany, że sobie z niego szydziła i trochę nadąsany.

Nie byłoby to sposób rozczerowania hr. Zygmunta i uwolnienia go od marzeń, które nam obojgu są szkodliwe?

— A! ten ogród i te schadzki! Jaką z mojej strony było nieopatrznością zezwolić na nie! Mogłam przewidzieć, że to, co tlało w sercu moim, rozżarzy się; że będę po tej jasności krótkiej pograżoną w ciemnościach. Tak mi zerwać trudno, tak mi straszno powiedzieć: „nie zobaczę go, nie usłyszę; na wieki musimy sobie pozostać obcy”.

Gorączka moja się wzmaga, on coraz jest śmielszy, chociaż zawsze pełen uszanowania. Dzisiejsze widzenie się nasze, było jakby przełomem i zwiastunem przyszłości. Powiedział mi wyraznie: — Panno Ludmiło — kocham ją — pani wiesz o tem, proszę o jej rękę.

— Hrabia wiesz — odparłam, zmagając się na siłę, — iż ofiary tej przyjąć nie mogę. Uczyniłabym go nieszczęśliwym, miałabym to sobie do wyrzucenia przez całe życie. Chcesz, abym mu wyznała — to, czego mogłeś się domyśleć — kocham cię, tak, kocham pierwszą i jedyną miłością, lecz przez to właśnie nie chcę mu życia zatruwać.

Chwycił mnie za rękę, którą okrył pocałunkami. Płakałam; napróżno mnie zaklinał i prosił — zadałam sobie gwałt. Rozeszliśmy się — nie wiem jak, bom się pozwoiliła odprowadzić do drzwi mieszkania. Nie pożegnałam go nawet — a chwila rozstania się nadeszła. — Na wieki! Muszę uciekać. Żyłam — bom kochała!

Prosper prawdopodobnie mieć musiał jakieś przecucia, bo nieustannie czatował u drzwi panny Ludmiły. Nic tu jednak nie znajdował podejrzanego. Uspokoil się.

Po ostatnim widzeniu się z hrabią Zygmuntem w Luxemburskim ogrodzie przez dni kilka Sciborzanka się w nim nie pokazała.

Było to poniekąd wytłómaczonem i hrabia nie śmiał nalegać, ani do drzwi jej zastukać.

Lecz upłynął tydzień cały, a Ludmiła nie wychodziła. Na dole Sitce odpowiadano, że zrana zwykle udawała się do miasta i nie wracała aż o mroku.

Naostatek niespokojny Sitko chciał już gwałtem biedz na górę, domyślając się jakiejś zmywy z portyrem, gdy ten mu oświadczył, że panna Brès wyjechała i mieszkanie stoi puste.

Prosper, jak szalony, niesłuchając już wołania i przekleństw portyera, wbiegł na trzecie piętro.

Mieszkanie wistocie zamknięte nawet nie było. Znikło z niego wszystko: obrazy, teki, przybory malarskie.

Dokąd się wyniosła artystka? Nie wiedział nikt. Ujęty zapłata odzwierny był widocznie pomocnikiem do tej ucieczki, i z mowy jego zmiarkować było można, że miał usta zamknięte dobrym datkiem.

Ruszał ramionami, odpowiadając grubiańsko, że nie ma obowiązku mieć nadzoru policyjnego nad lokatorami.

Sitko głowę stracił, siadł wśród pustego mieszkania, włosy robie rwąc i wyrzekając.

Lecz wrażenie, jakie na nim wywarła ta wiadomość, niczem było w stosunku do rozpacz, do szatu, w który wpadł hr. Zygmunt, gdy Sitko cały drżący przyniósł mu tę wieść okropną.

Nie tracąc chwili czasu, hrabia zarządził poszukiwania za zbiegłą. Sam wybrał się, aby być gotowym do drogi. Lecz gdzie, w którą stronę się miał udać?

Był pewnym, że nie powróciła do kraju, zdawało się możliwem, iż chciała się może ukryć w Paryżu. Sitko dobrze wiedział, że, sprzedawszy panu Joly zamówione obrazy, mogła mieć zaledwie jaki

tysiąc franków. Z tą sumą długiej i dalekiej podróży przedsięwziąć nie mogła.

Tymczasowo więc poszukiwania ograniczyły się do przetrząsania Paryża — napróżno.

Od kilku dni już trwały biegania Sitki i rozsyłanie najętych agentów przez hrabiego, gdy pocztą przyniosła mu list z małego miasteczka w Normandii datowany.

W liście tym powtarzała Ludmiła, co ustnie mówiła już hrabiemu, zęgnąła go i prosiła, aby poszukiwać nie czynił daremnych, a zachował jej wspomnienia życiowe.

„Spełniam obowiązek — kończyła — to, co, czynię. dyktował mi głos sumienia“.

Drugie pismo, do Sitki, zupełnie z innego miejsca wysłane, dla zatarcia wszelkiego śladu, chłodne, smutne, pełne rezygnacji, dziękowało za dobre serce jego, za opiekę, za przyjaźń, wyrażając życzenie, aby i on nie starał się odkryć miejsca, do którego się schroniła: „Nie troszcz się o los mój — pisała — wiele mnie nauczyło doświadczenie, umiem się obchodzić małym i zrezygnowana jestem na wszelką pracę, która mi chleb dać może. Któż wie, kończyła — spotkamy się jeszcze w życiu kiedy czy nie? ale naówczas chyba, gdy dłuższe lata zatrą i zabliznią wspomnienia bolesne i miłe“.

Sitko płakał i nie wstydził się łez swoich.

Po kilkutygodniowym pobycie w Paryżu hrabia Zygmunt, który stał się milczącym, roztargnionym, i cierpiał mocno, wyjechał napowrót do kraju.

Prosper pozostał tu jeszcze, łudząc się nadzieją próżną, że przecież w jakimkolwiek sposób odkryje ślad jakiś. Portyer domu, opłacany, przepłacany, naglony, zeznał wreszcie, iż pakunek artystki na dworzec kolei południowej nocą był wywieziony.

Nie mogła się więc znajdować w Paryżu. Sitko włóczył się, chodził, tarł włosy, gryzł palce — dumiał i nagle, odebrawszy pieniądze z kraju — jak powiadał, ażeby nie zwaryować, przedsięwziął podróż do Włoch. Chciał się upoić i zapomnieć.

Lat całych dziesięć upłynęło od opisanych wypadków. Hrabia Zygmunt, którego żeniono ciągle, wcale o ożenieniu się nie myślał. Zapowiadał rodzinie, iż nie ma do tego najmniejszej ochoty. Zamknął się na wsi, w domu i prowadził życie dziwaczne. Apatya jakaś uczyniła go na wszystko obojętnym. Czytał wiele, przechadzał się po parku, mało ludzi widywał, a i z tymi, oszczędny w słowach, nudzić się zdawał.

Napróżno wynajdywano rozmaite środki uleczenia go z tej, jak ją doktorowie zwali, melancholii. Rodzina usiłowała go skłonić do podróży, parę razy zmuszono niemal wyjechać; lecz powrócił prędko i gorzej podrażniony niż wyjechał.

W czasie tym jakoś Brzegi zostały wystawione na sprzedaż. Hr. Zygmunt nabył je i przeniósł się do znacznie zruinowanego domu, który wielkim kosztem kazał restaurować. Zajęcie się tem trochę go ożywiło. Brzegi wróciły do dawnej świetności.

Oczekująca długo a napróżno na hr. Zygmunta panna Cecylia Ściborzanka, wyszła nareszcie za mąż, za dość już nie młodego, ale bogatego pana.

Hrabia Julian, któremu po powrocie z owych studiów paryżkich, niezmiernie kosztownych, ojciec wypuścił część majątku, osadził w nim Buczyńskiego, biorąc z sobą jako sekretarza i bibliotekarza, chociaż listów prawie nie pisywał, a biblioteka była tylko w projekcie.

Buczyński, doszedłszy do pożądanego spokoju, brodę zapuścił, sądząc może, iż ona go od neliłościwych zęcań się nad nim dawnego ucznia powagą swą obroni. Nie pomogło to wiele, gdyż p. Julian znajdował nadzwyczajną przyjemność w kręceniu go za uszy i podstawianiu mu nogi. Zresztą Buczyński na nic się skarżyć nie mógł; pił i jadł wysmienicie, a do roboty nic nie miał.

Po wydaniu Cecylii i wypuszczeniu majątku, hr. Kanty z żoną, pozostawszy sami, gdyż milczącej i potakującej p. Virey liczyć nie było można, wiedli życie bardzo nudne i jednostajne. Hr. Alfonsyna czasem jeździła do córki i przesiadywała u niej, ale się jej tam nie podobało. Dom pański starego kawalera za mało się umiał zastosować do jej woli i zwyczajów; Cecylia zajęta była sobą

do zbytku i pracowała nad zawładnięciem, na wzór matki, umysłem męża i jego interesami, co jej ciężko przychodziło. Hr. Alfonsyna musiała być świadkiem walki, a że zięć posądzał ją o poduszczanie córki, kwaśno to przyjmował.

(Dalszy ciąg nastąpi)

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Listy pani G. Sand do hrabiny d'Agoult (Daniel Stern). — Co Sand mówi o sobie. — Nowe strony jej fizioznomii. — Biblioteka dla dam. — Legouvé. — Charaktery kobiet w nowych powieściach. Balzac, Flaubert, Malot, Feuillet, Mendès. — Geneza tych zjawisk. — Panna Augusta Holmès i jej „Argonauci“. — Pani Gréville. „Me de Dreux“. — Ostatni rok życia Maryi Antoinetty przez Imbert de St. Amand. — Idylla Ebers'a. — Laubego „Louison“. — Dramat i powieść. — Nad Dunajem i Sawą Alf. Szczepańskiego. — Serbia i jej przyszłość.

Zdaje mi się, że w liście ostatnim wspomniał o korespondencji G. Sand, z której wyjątki dała „Nouvelle Revue“. Zeszyt drugi, majowy zawiera listy do Daniela Stern (hrabiny d'Agoult) rozpoczynające się z r. 1835, idące do roku 1840, przerwane potem i zakończone krótkimi odezwaniami z 1862. Pomiędzy 1840 a 1862 upływają dwadzieścia i dwa lata — milczenia! Pośrednikiem do zawarcia stosunków z piękną i utalentowaną autorką Historii 1848 r. Szkiców moralnych i t. p. był przyjaciel obu, Franciszek Liszt. Ogłoszone listy, chociaż, zdaniem naszym, nie mają tego piętna wylania się i szczerości zupełnej, co pierwsze, zawsze są bardzo ciekawe. G. Sand pisze je, starając się o pewną oryginalność, obmyśla, układa, lecz czuć, że z potrzeby serca nie płyną. Niektóre z nich są bardzo ładne, chociaż wszystkie wieją chłodem jakimś i widać w nich przede wszystkim artystkę, autorkę, która z równie utalentowaną siostrzyczką o piękność stylu, dowcip i oryginalność współzawodniczy. W tych listach, choć są niby rubasne i szorstkie wystąpienia, kadzidla i grzeczności, niemal przypochlebiania się — wiele. Znaczniejsza część grzeszy wymuszeniem, niemal przymusem.

Co o sobie mówi autorka, więcej może dziwaczne niż prawdziwe. „Wystaw sobie, pisze w jednej z pierwszych korespondencji, że największą moją męczarnią jest — nieśmiałość. Prawda, że tego-bys się nie domyśliła? Wszyscy mi przypisują ducha i charakter zgryźliwy. Nie lękam się ludzi, ale im nie ufam, a życie moje jest okrutną męczarnią, gdy nie jestem sama lub z ludźmi, z którymi, jak z moimi psami, nie potrzebuję się żenować. Jeżeli się więcej zbliżymy do siebie, na co rachuję, czego pragnę, powinienś mnie opanować; inaczej będę zawsze niemilą. Musisz się ze mną obchodzić jak z dzieckiem; naówczas będę dobrą, bo będę swobodną, i przestanę się lękać domniemyanych następstw każdego kroku, będę mogła śmiało prawić głupstwa, szaleństwa, nieprzyzwoitości — niepotrzebując się ich wstydzić i t. d.“

W listach tych, starannie stylizowanych, pełnych niespodzianek dowcipnych, excentryczności, wybryków — serca nie czuć. Najdłuższe, najwyszukańsze pod względem formy są pierwsze listy, dalsze coraz krótsze, obojętniejsze, po r. 1838 ustają niewiadomo z jakiego powodu — i parę tylko biletów świadczy, że nie było zerwania, ale ostygnięcie i zobojętnienie.

P. d'Agoult wini G. Sand ożenienia syna; ona pisze z kondolencją po stracie jej córki, słów kilka. Zupełnie tu inna strona charakteru, inna występuje G. Sand niż w pierwszych korespondencjach. Jeżeli zbiór listów wyjdzie tak urozmaicony, tak coraz nowe odkrywające oblicze znakomitej autorki, wyniknie z tego, jak się nam zdaje, ocena tej ciekawej, niepospolitej indywidualności — zupełnie nowa i różna od tej, jakąśmy sobie z dzieł jej tworzyli, a przynajmniej wielą rysami postać się wypełni.

W Paryżu księgarnia bibliofilów, której wydawnictwa odznaczają się wielką elegancją i smakiem artystycznym, rozpoczęła druk „Biblioteki dla dam“. Potrzeba na to pewien nacisk położyć, że to jest biblioteka, nie dla kobiet, ale dla dam. Ma to swe znaczenie. Pierwszy tom zawiera przedruk Legouvégo: *Le mérite des femmes*, poprzedzony wstępem, zbogacony notami syna poety, p. Ernesta Legouvé.

Dobrze jest może, iż ta dawna francuzka, cześć dla niewiast przypomni się nowemu pokoleniu, które we własnych utworach literackich, ze świadomością czy mimowolnie, coraz poczwarniejsze na świat wyprowadza typy kobiece.

Nigdyśmy wistocie tylu monstrualnych bohatererek powieści nie mieli, ile teraz. Niemówiąc już o Nanie p. Zoli, która jest ohydą, pomimo tej łagodzącej okoliczności, iż jest głupią, bohaterka P. H. Malot w jego „Une femme d'argent“ nie ustępuje Nanie obrachowanym zepsuciem, a co gorsza, jest dosyć roztropną i przebiegłą, aby umiała ocenić własne postępowanie.

Tenże sam zarzut potworności czynią pani de Maurescamp, w Feuillet'a „Historii Paryżanki“, świeżo wyrzuconej na świat. Obrzydliwą jest także panna Gloriani w pamflecie C. Mendès (Króldziewica). Słowem, typy szkaradne są w tak wielkiej obfitości, że, gdy dodam do nich pospolite i stare, w ogóle obraz niewiasty XIX w. we Francji wyjdzie wstrętliwy i smutny.

Czy wistocie jest on historycznie prawdziwym? Mamy wielką wątpliwość. Wszędzie i zawsze znajdowały się wyjątkowe postaci czarne, lecz piszący nie stawiali ich nigdy w głównym świetle, nie studiowali zboczeń i chorób: malowali przeważnie stan zdrowy, a nie patologiczny, społeczeństwa.

Ubieganie się za oryginalnością źle pojętą, chęć wywołania skandalu dla uczynienia książki kupną a imienia popularnem, wpędziły piszących na te drogi, których pierwsze może początki widzimy w kilku romansach Balzac'a, a potem w „Pani Bovary“ Flaubert'a. Odtąd poczynają się szeregi obrazów teratologicznych, które dziś, doszedłszy do najostateczniejszego możliwego kresu, zapowiadają może nowy zwrót szczęśliwszy. Monstra niewieście już zdaje się poczwarniejszymi być nie mogą i wstręt nareszcie obudzą w czytelnikach. Brak talentu, który ożywia i zajmującym czyni wszystko, czego się dotknę, — zawsze jeszcze będzie dziwactwem się chciał zastąpić; lecz prąd ogólny, który dziś działa na pisarzy (mimo ich wiedzy niekiedy), zmienić się musi. Pomimo wszystko to, co nas od Niemców odstręcza, ich literaturze i razem społeczeństwu przyznać potrzeba, że u nich, jak u nas, literatura naturalizmem przesadnym pokalana jest niemożliwą. Tłómaczenie „Nany“, wydane gdzieś w Niemczech, powitane było oburzeniem, „Króla-Dzieciwice“ Mendès'a słusznie skonfiskowano. Literatura niemiecka bądźco bądź ma zawsze pewną cześć dla ideału i pewien srom a wstręt od brudów.

Ponieważ o Francji i kobietach była mowa, zapiszmy tu zjawienie się niepospolitego talentu w kompozycji muzykalnej: panny Augusty Holmès, której poemat muzyczny „Argonauci“ otrzymał wprawdzie drugą tylko nagrodę na konkursie miasta Paryża, lecz, zdaniem znawców, na pierwszą zasłużył. Słowa i muzykę utworzyła ze znakomitą, oryginalnością i siłą odznaczającym się talentem autorka. „Argonautów“ grano i śpiewano w Paryżu niedawno, i wielkie im oddają pochwały. Poemat dlatego tylko podobno nie został uwieńczony pierwszą nagrodą, że dla klasycznych i do kommunalów nawykłych sędziów był zanadto świeżym, zbyt śmiałym.

Pani Durand, piszącej pod pseudonimem Henryka Gréville powieści, osobliwie na tle życia rossyjskiego osnute, wyszła osobno, drukowana w „Nouvelle Revue“, „Pani de Dreux“. Tym razem autorka wprowadza nas w społeczność francuzką i w świat arystokratyczny; ale właśnie na przekór miłośnikom patologii i teratologii, maluje nam kobietę zącą, piękną, czystą i z wielkim charakterem. Obraz pomimo to nie jest wcale ani pospolity, ani nudny. Wiele w nim prawdy i talentu postrzegawczego, niema przesady i ka-

rykaturalności w charakterach; rzecz zajmująca i pisana pięknie.

Po bardzo a bardzo wielu już żywotach i obrazach Maryi Antoanetty p. Imbert de Saint-Amand daje nowy: „Ostatni rok Maryi Antoanetty“ (Paris, Dentu), tę jedną z najmocniej wzruszających tragedij prawdziwych, nad którą żadna wyobraźnia poety bardziej przerażającej wymyślić-by nie mogła. Autor, przejęty wzruszeniem, z wielkiem współczuciem opowiada chwile ostatnie tej męczennicy, która umiała być wesołym ptaszkiem w pierwszych latach panowania i podniosła się potem do bohaterstwa charakterem niezłomnym przed zgonem.

Do wdzięcznych obrazków w literaturze niemieckiej zaliczyć potrzeba Ebersa: „Idyllę starożytną“ (Eine Frage) dorobioną do obrazka Almy Tadem. Jest w niej wiele zdrowego realizmu, który tylko tak uczonemu, jak Ebers, w powieści z umarłego dawno świata był możliwym, ale zarazem i pewna woń poetyczna wieje z tych kartek. Są one dla nas piękniejsze niż sam obrazek Tadem, który wdziękiem się nie odznacza. Potrzebował wistocie tego tekstu, który doń dorobił Ebers, aby się stać zrozumiałym. Z wielkim humorem i prawdą odmalowana stara klucznica Semestre. Świat ten dawny pod piórem Ebersa wraca do życia, i choć słusznie mu może zarzucają modernizacją jego, w Idylli wcale ona nie razi.

Równie prawie, ale w innym rodzaju głośnego, dramaturga i pisarza Laubego, powieść „Louison“, gdyby wpadła w ręce komu, niebardzo-bym namawiał do czytania. Jestto wizerunek charakteru, conajmniej dziwaczego, nic w sobie oryginalnego ani sympatycznego niemający. Czyni wrażenie niewykonanego dramatu, który Laube przerosł na powieść, tak, jak się powieści czasem na dramata przerabiają. We Francji, a cości i w Niemczech, bardzo to rzecz pospolita, chociaż nigdy prawie najdramatyczniejsza powieść nie daje się przenieść na scenę, nie tracąc, ani dramat zylkuje na rozwodnieniu go powieściowemi szczegółami. Każdy pomysł jedną ma tylko formę właściwą, przyrodzoną, w której się objawić może.

„Nad Dunajem i Sawą“ (Sur le Danube et la Save) zowią się obrazki z podróży p. Alfreda Szczepańskiego, wydane świeżo w Wiedniu. Autor, znany z pism swych polskich, maluje nam tu Serbię, pobieżnie, wielkimi rysy, lecz w sposób zajmujący; sam przedmiot pociąga ku sobie, gdyż Serbia bardzo wogóle mało nam i Europie jest znana. Szczególniej interesuje nas Białogród, stolica, którą widzimy w chwili przygotowywania dla niej przyszłość na gruzach tureckiego starego zdrętwienia. Wnosząc z opisu p. Alfr. Szczepańskiego wszystko tu się porusza, budzi, i dąży do ulepszeń i postępu. Wprawdzie miastu wiele jeszcze braknie życia warunków, lecz — nie odrazu Kraków zbudowany i Białogród odrazu stanąć nie może. Bruk i cywilizacja zawitają tu wkrótce.

Autor przewiduje, iż w przyszłości Serbia stanie na czele związku Słowian południowych, i odegra rolę Piemontu słowiańskiego. Tymczasem, nie mówiąc o pracy ducha, potrzeba uregulować bieg Dunaju, około Białogrodu, i dać wybrzeża granitowe od zalewu ubezpieczające, oczyścić port, zbudować doki, powysadzać drzewami ulice, porobić drogi żelazne. Serbowie mają już akademię narodową z trzema fakultetami: filozoficznym, technicznym i prawnym, z dziewiętnastu profesorami; mają instytut teologiczny z trzynastu; mają ośmnaście gimnazjów (jedno żeńskie), seminarium pedagogiczne, szkołę rolniczą, pięćset z górą szkółek elementarnych (a 47 dla kobiet). Obrachowano, że jedna szkoła wypada na 2616 mieszkańców. Stowarzyszeń naukowych jest też kilka, — towarzystwo umiejętności, rolnicze, lekarskie. Muzeum i teatr narodowy także tu doliczyć potrzeba. Te-to zakłady, które tak prędko powstały i tak żywo krzewią się i rozmnażają, są dla nas najlepszą rekompensacją przyszłości Serbii; bo pierwszą potrzebą każdego narodu — światło. Reszta będzie mu z niem dana.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Maju 1881 r.

Wesołe wesele. — Znamiona szczególne i rzadkie. — Udział ludności. — Państwo młodzi. — Goście. — Zabawy. — Deputacye: polska z Galicyi i z Warszawy. — Słowianie w Austrii. — Wymowa liczb. — Proces o odezwę nihilistów. — Bóldy stryjskie Kirkora. — Radzcy Bałuckiego. — Sur le Danube et la Save Szczepańskiego. — Początek pory letniej. — Kwiaty. — Owoce. — Nabiał. — Awantury niemieckie. — Polacy.

(Dokończenie).

W drugiej połowie państwa podobne są stosunki. Kroaci, t. j. Chrobaci, ludność zpod Krakowa tam wyparta, mają w sejmie węgierskim już 60 posłów, u siebie posiadają zupełną odrębność i samorząd; tylko Słowacy w górnych Węgrzech, od Spiżu, niegdyś polskiego, poczynawszy, są gnębieni, madiaryzowani. Zdawało mi się w porę to wyliczenie, gdyż udział ludności w uroczystościach dworu okazał całą różnorodność plemion i ubiorów, a wszyscy zarówno są przywiązani do tronu, owszem od czasu zaspakajania praw narodowych, potęga Austrii wzrasta i spójność jej dobrowolna manifestuje się swobodnie; zaczynają też kraje i pod względem dobrobytu się dźwigać, na czem państwo całe zyskuje. Minister Polak podnosi finanse państwa; uzyskał dla niego taki kredyt w Europie, jakiego Niemcy nigdy osiągnąć nie mogli. Dobrze określił stosunki Dr Dunajewski, mówiąc w parlamencie: „Nie pojmuję państwa (całej Austrii) bez osobnych krajów, ani też krajów, któreby do państwa nie należały.“

Zestępując do drobnych a zajmujących nas wydarzeń, zaznaczyć wypada, że *Messenger de Vienne*, redagowany przez Polaka Wołowskiego, uległ konfiskacie za przytoczenie odezwy nihilistów, lubo ze słowami potępienia. Wytoczył proces, i wygrał go. Bronił *Messagera* adwokat Wolski.

W Burgu grają przerobioną komedią Bałuckiego *Radzcy pana radzcy*.

Neue Illustr. Ztg. zamieściła rycinę przedstawiającą *bóldy* (świątynie słowiańskie w skale kute) w okręgu stryjskim w Galicyi, z opisem według rozprawy A. H. Kirkora w rocznikach Akademii Krakowskiej. Wyszyły tu właśnie pofrancuzku „Szkice z podróży po Serbii“ (*Sur la Danube et la Save*) przez Alfreda Szczepańskiego, które o tym sympatycznym kraju wiele zajmujących podają szczegółów. Książeczka ta obudziła zajęcie w Paryżu, z kąd też kilkaset egzemplarzy zaraz zażądano.

Nie brakło w Maju i w innych zakresach zajmujących spraw, o których warto pisać; różne, a bardzo cenne wystawy; w teatrze nowości, otwarcie nowych budowli monumentalnych — lecz nie chcę zbyt daleko przedłużać tego listu. Odkładam sprawozdanie napóźniej — na czas ogórkowy — który będzie może jałowym. Tutaj bowiem już, kto może, ucieka, upały się zaczęły. Lubo wiosna jest tak późną jak u nas, ale wegetacya zjawia się znacznie prędzej, można wyjechać na wioś. A jest gdzie: okolice tu naokoło cudowne — koleją, tramwajami lub omnibusami przyjeżdżają panowie mężowie codzien zrana do Wiednia, a wieczorem znowu na willegiaturę wracają. W mieście ogrody cały dzień przepełnione; mleczarnie, kwaśne mleko i chleb Grahama mają ogromny obyt; na każdej ulicy po kilka wazonowych bodaj ogródków; węże od wodociągów zlewają ulice bezustanku cały dzień; w nowych częściach miasta, wzdłuż całej Ring-Strasse, jest wielki przewiew, powietrze prawie świeże. Zdaje mi się, że łatwiej tu przebyć lato niż w innym mieście — lubo przymuszeni do pozostania lamentują, skarżą się na upały — i pocieszają piwem. W domu też nikt nie siedzi do późnej nocy: więc w lokalach publicznych, lubo przestronnych i wygodnych, ścis i zaduch. Piwo czyni jednak tutaj nieczułymi ludzi na podobne dolegliwości.

Zakończył się też wiosenny dowóz kwiatów, głównie fiołków i konwalij, całemi wagonami prawie, z lasów i ogrodów o mil 20 i więcej —

a zaczął się dowóz owoców, wiśni i nabiału, dwa razy tyle co w zimie. Ale niech ich Pan Bóg ma w swojej opiece za to mleko i masło, które oni tu mają! Ludzie jednak nie skarżą się; smakuje im; dobrze wyglądają. Wiedenki powiększej części zanadto są zdrowe, to jest słuszne; ruszać się nie lubią; zwłaszcza w lecie cały dzień siedzą „im Garten“, a dzieci naokoło nich skaczą.

Należałoby mi w końcu dodać coś o walkach, zajściach, burdach parlamentarnych, które i w Maju Niemcy urządzali. Poraz pierwszy wydarty im został w Austrii monopol panowania i wolności — ale tylko wolności uciskania drugich. Odcinają przeto od rozumu, uciekają się do środków anarchicznych, hałasują, przezywają i spótwarzają z mównicy pod zasłoną nietykliwości poselskiej, usiłują zrywać posiedzenia, wychodzą tłumnie, chcą przenieść legalną, parlamentarną walkę na galeryę i na ulicę. Powodu nie mają, gdyż im żadna się krzywda nie dzieje, lecz tylko niewolno już bezkarnie krzywdzić drugich: Polaków, Czechów i t. d. Jest też to dla nas chlubnem, że w takiej sytuacji właśnie tylko Polak, dr Smolka, okazuje się dosyć trzeźwym i bezstronnym do przewodniczenia obradom; tylko Polak ma potrzebną do tego, przez całą izbę uznawaną powagę. Lecz w ogórkowej porze i parlament zamknięty, tylko Izba Panów jeszcze obraduje — a i w niej Polacy: Zybkiewicz, Szujski, Majer, Wodzicki, Wład. Dzeduszycki rozstrzygające zajmują stanowisko. Trzeba jednak zauważyć, że usposobienie awanturnicze i nienawistne posłów niemieckich w ludności niemieckiej wcale ogólnego odgłosu nie znajduje.

IRLANDYA

RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

(Dalszy ciąg).

Do wszystkich nieszczęść Irlandyi przybył na jesieni 1845 głód. Był on wynikiem nieurodzaju, ale ujawnił fakt trwalszy, ważniejszy, na samem dnie stosunków społecznych tkwiący: prze-ludnienie wsi ze szkodą miast. Przy panującym systemacie wielkiej własności angielskiej ilość gruntów uprawnych w stosunku do ludności na wsiach zamieszkałej była zamałą. W r. 1845 Zielona Wyspa miała 8,300,000 mieszkańców; był to najwyższy stopień jej zaludnienia. Epidemia głodowa i emigracya sprowadziły bardzo gwałtowny ubytek. Rząd angielski rok cały oczekiwał, zanim coś rzeczywiście odpowiadającego wielkim siłom narodu i państwa dla Irlandyi zrobił. Po zwykłych w takich razach rozporządzeniach, dopiero na początku r. 1847, na wniosek Russella, darowano wszystkim posiadaczom gruntów połowę zapomóg otrzymanych ze skarbu, urządzono komitety wsparcia, wyasygnowano miliony na żywność dla zgłodniałej ludności, dano zasiłki pieniężne na siew i zwiększenie przestrzeni gruntów uprawnych, postanowiono budowę trzech kolei żelaznych. Przeszło 9 milionów f. st. wprowadziła Anglia w ten sposób do Irlandyi; ale ani jej sobie nie kupiła, ani nie odwróciła naturalnych skutków przeludnienia i głodu: milion blisko ludzi powędrował na Wschód, głównie do Szkocyi, i za Ocean, gdzie od tego czasu zaczęło się wytwarzać potężne dziś stronnictwo irlandzkie w Stanach Zjednoczonych.

Głód i choroby wprowadziły anarchią. Zjawili się nanowo *White-boys* z XVIII w.; przybyło do nich kilka innych stowarzyszeń, jak *Wodzowie o północy* i t. p.: i zbrojne tłumy po sto i po kilkaset osób zaczęły napadać na dwory; paliły i mordowały. Wsie całe wymierały; dotknięci tyfusem głodowym tarzali się po drogach i placach. Nędza zniewalała do zarzynania bydła i niszczenia bogactwa narodowego, a rozkiełzanie namiętności przeciwko Saxonom i protestantom, częstokroć niewinnym, podkopywało moralność ludu,

i tak już, bez oświaty, na wątpliwej oparciu podstawie. Na Irlandyi okazało się wtedy: jak dalece niewola upadła ciemniejszych, a szkodzi samym ciemniejszym. Gdyby ten lud od czasów Elzbiety, zamiast ciągłego gnębienia, doznawał był opieki, to ani sam nie byłby tak dzikim i nieszczęśliwym, ani też Anglia nie potrzebowałaby ponosić ofiar, które sama ich doraźność czyniła bezowocnymi dla przyszłości. Przeciwno anarchii już w Czerwcu 1846 r. Peel postanowił obronić porządek przez nowe prawa wyjątkowe; a był w nich nawet zakaz wychodzenia z domu po zachodzie słońca, bez usprawiedliwionej przyczyny. Wskutek 'manewru stronniczego bill upadł, a wraz z nim i pierwszy minister. Przyszli do władzy Wighowie i w Grudniu 1847 rozciągnęli nad Irlandyą prawa powściągające. W wielu hrabstwach zawieszono akt *Habeas Corpus*. O'Connell już wtedy nie żył († 15 Maja 1847 r. w Genui); ale żyła myśl odłączenia się od Anglii, pielęgnowana na łonie, już nie roztropności, lecz namiętności ślepej, nieopatrznej, na wszystko gotowej. Rewolucja Lutowa we Francyi dała hasło do wybuchu rewolucyjnego w Erynie.

4. Kiedy burza ludowa wypędzała Ludwika Filipa do Anglii, na czele stronnictwa Młodej Irlandyi stali Smith O'Brien, Dohenny, Duffy, O'Gormon, Meagher, Mitchell — niegdyś uczniowie i wielbiciele O'Connella, teraz przeciwnicy jego spadkobierców politycznych, nad którymi górowali przez energią, zdolnością, a nadewszystko przez niezmierną popularność u ludu. Mając wybierać pomiędzy *Stronnictwem siły moralnej*, któremu przewodził Jan O'Connell, najstarszy syn Daniela, a *Stronnictwem siły fizycznej*, w którym największą działalność rozwijał O'Brien, lud w ogrocie swoim nie wahał się ani chwili: na owoce moralne czekać trzeba było długo, a fizyczne, t. j. niepodległość z bronią w ręku, przy pomocy Chartystów w Anglii i republikanów we Francyi, można było wywalczyć zaraz. To „zaraz“ idealu, poza którym stoi straszne „jeszcze nie teraz“ rzeczywistości — tłumaczy nam genezę każdej rewolucji. Lud albo się nie ruszy wcale, albo, gdy się porwie, to już tylko do czynu. Z natury swej jest on zawsze niecierpliwym i wierzącym, jak niecierpliwym jest i wierzącym uczucie wszelkie; nie zna ono żelaznego łańcucha przyczyn i skutków, nie rozważa tego, że wszelki czyn ziemski, materialny, ziemskich też, materialnych potrzebuje dla siebie warunków. Przewódzcy ludu irlandzkiego w r. 1848 działali lekko-myślnie, a całem ich niewinnieniem wobec Historji jest to, że nie zaszli bardzo daleko. Chcieli wprowadzić naród uzbroić i uwolnić, założyli *Stowarzyszenie karabina*, urządzali ćwiczenia wojskowe po wsiach i miastach, kazali kowalom wiejskim kuć kosy i piki, w dziennikach swych dawali plany nie tylko organizacji, ale napadu i obrony w większych miastach, uczyli stawiania barykad i delikatnym rączkom niewiast i kobiet podawali do rąk kamienie i kipiące wrzutki: zrobili wszystko, czego potrzeba do odmalowania rewolucji jako postrachu, ale nie zrobili niczego dla rzeczywistego czynu, jakim ludzili nieprzejrzane chmary ludowe. Liczyć na Chartystów po haniebnem nieudaniu się demonstracji petycyjnej w Londynie d. 10 Kwietnia dziecko-by nawet nie śmiało. Wyrazy uznania dla rządu francuzkiego, jakie Irlandczycy usłyszeli z ust O'Briena po powrocie jego z Paryża były tylko aktem prostej grzeczności — aktem całkiem zbytecznym i obalamującym opinią publiczną. Francja przez usta Lamartine'a oświadczyła d. 3 Kwietnia, że nie chce nic zrobić dla Irlandyi: Irlandya sama nie mogła nic zrobić dla siebie; nie miała ani broni, ani organizacji wojskowej, ani żołnierzy, ani officerów; skarb rewolucji drzemał jeszcze w prywatnych kieszeniach agitatorów, był na łasce ich poświęcenia, ich uczynności; lud, sam biedny, nie miał pieniędzy na wyzwolenie się. Rewolucja *in spe* wyrządzała mu tylko wielką krzywdę, odrywając go od pracy i skazując ostatecznie na emigrację, która stała się oddatą normalnym processem nieszczęsnego organizmu narodowego. Złotemi słowy ostrzegał swych ziomek Jan O'Connell, zalecając powrót do opozycji legalnej, do moralnego tylko działania w *Repeal-association*,

które istnieć nie przestawało, ale pozbawione już było dawnej powagi. ¹⁾

Rewolucyoniści lecieli w przepaść: potrzebowali rewolucyi, już nie dlatego, aby mogli przez nią kraj wyswobodzić, ale dlatego, aby sami mieli w czym zginąć. Fatum takie ciążyło już nad niejednym narodem, w niejednej chwili dziejów. Mitchell, ognistemi mowami i pałającą nienawiścią ku Anglii wsławiony, redaktor dziennika *United Irishmen*, za obrazę majestatu na długoletnią deportację skazany, wcześniej już zeszedł z widowni działań; a za nim podążyło wielu a wielu najznakomitszych. Najenergiczniejszy O'Brien najdłużej się też utrzymał; przebiegając zachodnio-południową część kraju, organizował ciągle opór, w którego powodzenie nie wierzył, ale którego nadzieją ludzi się potrzebował. Jeszcze w Kwietniu 1848 r. zwołał konwencyą narodową z 300 osób; miał to być samoistny parlament irlandzki. Wice-król Clarendon zakazał zebrania, polecił rozwiązać *Stowarzyszenie karabina* i wszelkie związki wojskowe, zmierzające do złapania się w jedną gwardyą narodową, poruszył policyą i wojsko dla ścigania przygotowań zbrojnych i korzystając z praw wyjątkowych, nanowocnych uchwalonych przez parlament, w okręgach najbardziej wzburzonych ogłosił stan oblężenia, który wątpliwej organizacji narodowej zadał cios dotkliwy: nie o napadzie na Anglię, ale o bezpieczeństwie własnem myśleć już teraz było potrzeba. Rząd angielski wydał rozkaz uwięzienia O'Briena i innych przewodzców Młodej Irlandyi. O'Brien schronił się do hrabstw południowo-zachodnich, i zachęcając lud tameczny do powstania, Czerwcu i część Lipca na przygotowanie ruchu poświęcił. Udało mu się zebrać zastęp odważnych, którzy, jego, republikanina, i sami republikanie, „królem Munsteru“ obwołali. W dniu 29 Lipca 1848 r. wojsko angielskie doścignęło powstańców pod Bolulagh. Po pierwszych strzałach gromadka źle uzbrojonego, źle wyćwiczonego a wcale nieprowadzonego ludu pierzchnęła. O'Brien, wtrącony do więzienia i skazany na śmierć, otrzymał ulaskawienie do Australii. Z towarzyszącymi jego rząd obeszli się równie bez srogości. Już jej nie potrzebował: powstanie było zgniecione.

Z nastaniem zimy dała się uczuć cała nędza i rozstrój społeczny, a odpowiedzialność za złe w znacznej mierze na rewolucyą spadała. Dwakroć set tysięcy ludzi odrazu opuściło kraj; trapiący niedostatkiem lud wiejski odmawiał czynszów, napadał na dwory właścicieli, skrytobójstwem i postrachem uspokajał sobie rozbolące serce. Rząd musiał znowu zawiesić prawo wolności osobistej, a dla ulżenia nędzy na własność gruntową nałożyć *income tax*.

Do głodu przybyła cholera. Z Londynu wyznaczono nowy zasilek dla „domów ubogich“. Pomysłano o organicznem ulepszeniu stosunków przez rozdrobnienie wielkiej własności, zniesiono ograniczenia utrudniające jej sprzedaż i nakazano nawet (w r. 1850) przymusowe likwidacye tych majątków, z których dochody nie pokrywały procentów od długów (*encumbered estates*). Dzierżawcom rozszerzono prawo wyborcze. Wprowadzenie przymusowych likwidacyj, pod kierunkiem osobnej magistratury sądowej, przyniosło zaczęło dobre, choć nieznaczne, skutki. W trzy lata po wydaniu ustawy piąta część wielkich majątków angielskich w Irlandyi poszła na licytację, a wiele z nich nabył pieniądź irlandzki dla inteligencji i pracy irlandzkiej.

Po r. 1848 upłynęło w Irlandyi kilkanaście lat względnie spokojnych. Wychodziło z kraju, głównie do Ameryki, przybrało olbrzymie rozmiary; z 8 i pół milionów ludności w r. 1845, statystyka z r. 1851 wykazuje tylko 6,624,000, a malejący ten stosunek utrzymuje się ciągle przez następne lat dwadzieścia. ²⁾ Bieda ludu wiejskiego trwała podawnemu, zatargi z właścicielami nie ustawały, a prawodawstwo angielskie od r. 1851 nie dla polepszenia stosunków nie uczyniło; rzą-

dowi szło przedewszystkiem o własną skórę, i cała opiekuńczość jego po ustaleniu spokoju objawiała się w zwykłym biegu administracyi, która obywać się już mogła bez praw wyjątkowych. Dodatnią wartość miała działalność rządu w tej epoce tylko przez staranność o szkoły początkowe wprowadzone jeszcze przez Roberta Peela. W r. 1850 było ich 4500 z półmilionem uczących się dzieci.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Maju 1881 r.

Wyprawa tunetańska. — Gwałtowny początek a zbyt śpieszny koniec. — Wrażenia i następstwa. — Obojętność powszechna. — Straty literackie i polityczne. — Śmierć Dizraeliego i Girardina. — Życiorys lorda Beaconsfielda. — Jego początki. — Lady Blessington i jej salony. — Hrabia d'Orsay. — Pierwsze plody literackie. — Podróż na Wschód. — Powrót do ojczyzny i życie polityczne. — O'Connell i jego gwałtowne zajście z Dizraelim. Jego strasliwa filippika i odpowiedź Dizraeliego. — Wejście do Izby Poselskiej. Bogate ożenienie się. — Karyera polityczna i najwyższe godności. Zawód literacki i powodzenie niezmiernie. — Powierzchność w starości. — Mieszkanie w mieście i na wsi. — Śmierć i pogrzeb.

(Dokończenie).

Pomimo swych wielkich zajęć politycznych, pomimo pracy w ministerjum i w Izbie, lord Beaconsfield nie zaniedbywał prac literackich. Oprócz wyliczonych już wyżej powieści: *Coningsby*'ego, *Sybilli*, *Tankreda*, *Lo'hair'a*, w ostatnich czasach ukazał się jeszcze przed swą śmiercią autora *Endymion*, za który mu wydawcy angielscy zapłacili niezmierną sumę 12,000 funtów sterlingów, czyli 300,000 franków.

Więcej tu ważyło nazwisko i wysokie położenie autora, aniżeli samo dzieło. Powieść ta, rzeczywiście jest bardzo mierna, i co do wynalazczości, i co do zajęcia, jakie wzbudza. Rachowano to bardzo wiele, na pewnego rodzaju aluzję do społecznych i politycznych stosunków, i na portrety, mniej więcej przejrzyste, znanych i znakomitych osobistości; słowem, liczono na pewien rodzaj skandalu, którego mógł się być dopuścić niegdyś, młody, poczynający i wojujący Dizraeli, ale którego nie był już zdolnym popełnić lord Beaconsfield. Ludzie więc spekulujący na tę słabość naszej epoki, która grasuje szczególnie we Francyi — oszukali się w swojej rachubie. Dodam tu, że o tę spekulacyą nie należy bynajmniej posądzać angielskich wydawców. Tam rzecz literacka tego rodzaju urządzi się całkiem handlowym sposobem. Wielcy wydawcy angielscy, przedsiębiorząc nakład dzieła znakomitego ze swej wartości, naukowej lub literackiej, albo znakomitego wskutek, jak w tym razie, nazwiska autora, mają zapewnioną naprzód sprzedaż, za cenę wysoką dosyć, jednego funta, albo 25 franków, od egzemplarza — i to w liczbie od 10 do 15 tysięcy egzemplarzy, pierwszej edycyi, bo tu nie rozdrabiają, jak we Francyi, na nieskończoną liczbę edycyi, które są istnem złudzeniem.

Pomimo wieku i lat lord Beaconsfield pozostał zawsze starannym i troskliwym, co do ubioru i powierzchowności, ale niestety! z wiekiem to, co u dandysa z 1825 r., było najwyszukańszą oznaką elegancyi, u starego „Deazy“, jak go poufale nazywano w Anglii, stawało się śmiesznością. Nosił on zawsze spodnie jasnego koloru, surdut obcisły i przypadający do stanu, kapelusze lekko pochylony ku lewemu uchu. Miało to niegdyś minę junacką; ale dziś, kiedy się czarne, krucze włosy przerzedziły okropnie, kiedy twarz biała stała się śniadą, wszystko to było trochę dziwne, bo w tej ruinie przeszłości oczy tylko zachowały jeszcze dawny blask i żywność.

Kiedy, dnia 11 Kwietnia r. b., w Poniedziałek, rozeszła się wieść o ciężkiej chorobie Beaconsfielda, wszystko, cokolwiek jest znakomitego w Anglii, śpieszyło na ulicę Curzon, aby dowiedzieć się

1) *Garnier Pagès: L'Europe révolutionnaire en 1848*, T. IV, str. 299.

2) Liczba wzięta z wykazów współczesnych. *Kolb* (Vergl. Stat.) podaje za rok 1851 liczbę mniejszą: 6,542,385. We dwadzieścia lat później ma Irlandya tylko 5,412,377, czyli traci 1,140,008 = 17%.

o stanie zdrowia chorego. Królowa co chwila pragnęła być uwiadomioną o postępie choroby; a wobec niebezpieczeństwa, jakie zagrażało Dizraelemu, znikły wszystkie nieporozumienia polityczne i różnice stronnictw, i p. Gladstone ani jednego dnia nie opuścił, codzień osobiście dowiadywał się o stan chorego.

Dom położony przy Curzon-Street, pod Nr 19, gdzie zmarł lord Beaconsfield, było to mieszkanie jego prywatne, *un pied à terre*, jak nazywają Francuzi — dom prawdziwie angielski: o dwóch piętrach, i o trzech oknach od ulicy. Na dole sieni (tak zwana *hall* poangielsku) i dwa salony, dla przyjęcia gości. Na pierwszym piętrze gabinet, czyli pracownia, i salon recepcyjny. Na drugim piętrze sypialne pokoje. Wszystko to umeblowane poangielsku, z wielkim komfortem, lecz, co do formy, meble są trochę zaciężkie może. Prawdziwą rezydencją lorda, był zamek w hrabstwie Buckinghamskim, nazwany: Hughenden (wymawiaj „Hafenden“) Manor. Tam to on przyjmował i ugaszczal — i było to mieszkanie, odpowiadające blaskiem i przepychem, położeniu wysokiemu pierwszego ministra Anglii.

Do ostatniej prawie chwili lord Beaconsfield, chociaż świadomy niebezpieczeństwa, które mu zagrażało, zachował całą przytomność i cały spokój umysłu. We Środę, d. 13 Kwietnia, na kilka dni przed śmiercią, pomiędzy dwoma przystępami astmy, które go wycieńczały okrutnie, poprawiał jeszcze odbitki ostatniej, pięknej swej mowy, którą wygłosił kilka dni przedtem w Izbie Wyższej.

Jak tylko wieść się rozeszła, iż wszelka nadzieja ocalenia Dizraelego była straconą — i to jest charakterystyczny szczegół, angielskich zwyczajów — dwóch reporterów stanęło przy drzwiach mieszkania, na niezmienną straż, dzień i noc, a w bibliotece publicznej British-Muzeum niemożna było otrzymać najmniejszej książki, mającej związek z życiem umierającego. Wszystkie jego biografie, wszystkie jego dzieła lub dzieła pisał-

ce o nim, były w rękach ludzi eskontujących już dla ciekawości publicznej ostatnią godzinę życia.

Po śmierci Dizraelego p. Gladstone wniósł, aby zwłoki Beaconsfielda złożyć w opactwie Westminster, ale ostateczną swą wolą, wyrażoną w testamencie, Dizraeli postanowił, aby pogrzeb odbył się jaknajskromniej. Ciało złożone zostało w rodzinnym grobie w Hughenden-Manor, obok zwłok małżonki.

W Sobotę d. 23 Kwietnia, po północy, wśród niezmiernej ulewy, zwłoki wywiezione zostały z domu do dworca kolei żelaznej — samotnie i jakby ukradkiem. Była to zbyt ściśle wykonanie ostatniej woli zmarłego.

Wykonawcami testamentu są, lordowie: Rowson i Barrington oraz Rothschild; oni sami tylko znajdowali się w domu przy ulicy Curzon. Ciało zamknięto w trzy trumny: pierwsza jesionowa wybita białym atlasem; druga ołowiana, zamknięta i zalutowana przed 24 godzinami; trzecia dębowa, obita czarnem suknem — na miedzianej blasze, przybitej na wieku, wyrzeźbione były następujące słowa:

Benjamin Dizraeli

Urodzony 1805

Pierwszy *Earl* z Beaconsfield

Umarł 19 Kwietnia 1881 r.

W godzinę potem ciało przywieziono na stacyą kolei żelaznej w Wycombe, następnie przeprowadzono do Hughenden-Manor i złożono w wielkim salonie na dole. Pałac ten, nowożytna, piękna, ozdobna budowa, slicznym otoczona parkiem — był ulubionem mieszkaniem nieboszczyka. — Ogromny salon, w którym ustawiono jego trumnę ustóp wspianego portretu królowej, cały był zarzucony w tej chwili białymi kwiatami. U stóp trumny otwarte okno daje widok na mały wiejski kościółek i cmentarz, gdzie już spoczywa lady Beaconsfield i gdzie wkrótce złożą ciało nieboszczyka, po-

kryte w tej chwili wienkami i pamiątkami, nadesłanymi ze wszech stron świata.

Z tego salonu, przechodzi się do biblioteki, całej w złocie i w jasnych barwach obicia. Tu, on napisał wszystkie prawie swe dzieła, a widocznie umysł jego i oczy potrzebowały być otoczone jasnością i światłem.

O trzy kwadransy na 4-tą wieczorem, w przytomności najznakomitszych osób, dzierżawcy dóbr nieboszczyka zanieśli trumnę do kościoła na swych ramionach; brat zmarłego a jego legataryusz prowadził kondukt żałobny. Na organach brzmiał marsz żałobny Beethovena; modlitwy krótkie bardzo, zwyczajem protestanckim, odmawia wikaryusz; poczem odnosią trumnę na cmentarz i spuszcza ją do grobu, wśród prawdziwie grobowego milczenia obecnych. I koniec! Wielki człowiek, pierwszy minister wielkiego państwa, zajmujący teraz małe miejsce, pod tym kamieniem, który ma świadczyć, jak długo? — czem był ów człowiek. Dziwny zbieg rzeczy! Dizraeli umarł w tensam dzień, w którym skończył jego ulubiony poeta, lord Byron, i w rocznicę dnia, w którym sam złożył swój urząd pierwszego ministra.

Następca jego i współzawodnik p. Gladstone wystąpił po pogrzebie z propozycją, aby lordowi Beaconsfield wzniesić pomnik w Westminsterze, kosztem skarbu publicznego. Parlament jednomyślnie wniosek ten na uchwałę zamienił.

Szczęśliwy kraj i szczęśliwi ludzie, którzy mu wiernie służą!

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: *Sługa poseśora* oraz dokończenie powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcją i na dotychczasowych warunkach.

Prenumerata wynosi:

W Warszawie:		Za dodanie dwa razy na miesiąc mój kolorowanych	Za dodanie co tydzień Mody kolorowanej, oraz co miesiąc zefiru
Miesięcznie	kop. 60	dopłaca się w Warszawie:	dopłaca się w Warszawie:
Kwartalnie	Rs. 1 kop. 80	Miesięcznie kop. 15 czyli liczy się	Miesięcznie kop. 40 czyli liczy się
		Kwartalnie kop. 45	Kwartalnie Rs. 1 kop. 20
			Rs. 3
Na prowincyi i w Cesarstwie:		Na prowincyi i w Cesarstwie.	Na prowincyi i w Cesarstwie:
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie kop. 50 czyli liczy się	Kwartalnie rs. 1 kop. 60 czyli liczy się
Półrocznie	Rs. 5	Półrocznie rs. 1	Półrocznie rs. 3
Rocznie	Rs. 10.	Rocznie rs. 2	Rocznie rs. 6
			Rs. 4
			Rs. 8
			Rs. 16

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadesłać prenumeratę, wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i Cesarstwa upraszam również, aby żądania swoje raczyli adressować „do Redakcyi Bluszczu Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).”

Wczesne wyprawianie pierwszych, regularne odsyłanie dalszych numerów „Bluszczu“, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

MICHAŁ GLÜCKSBURG

Księgarz-Wydawca.

TREŚĆ. O wychowaniu macierzyńskim, przez Zofią Kowerską. — Adryan Baraniecki i Muzeum, (dokończenie). — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Юня 1881 года.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dokończenie)

Matka, córka i służąca podniosły razem oczy, gdy nagle wysokie cienie jakieś zamroczyły światło słońca wpadające do sieni i Griebłowa wypuściła nóż z ręki, a małe jej niebieskie oczy rozszerzyły się szeroko. Tak, był to niewątpliwie pan Henryk Markus, pan dziedzic, przedmiot jej cięchłej adoracji i iście macierzyńskiej opieki, lecz jakże odmiennie wyglądał! Tak wyprostowany, dumny, promieniejący! A obok powiewała biała suknia, i piękna wysmukła panna, która ją miała na sobie, wspierała się na jego ramieniu „jak by to było całkiem naturalną rzeczą”. — Miała na głowie piękny kapelusz z gazową woalką. Pani komisarzowa знаła dobrze ten kapelusz, widziała go bowiem raz w kościele w Tillröde tuż obok pana posesora. A więc dama w białej sukni była niezawodnie synowicą pana Franza, guwernantką, a trzeba by było być chyba bez oczu, aby od razu nie domysleć się, że jest to i narzeczona pana dziedzica!

I to wszystko stało się tak nagle, tak niespodzianie! Jakże była ograniczoną, że mieszkając z nim pod jednym dachem, nie nie odgadła, nie przeczuła! O, poczekaj ty skryty, fałszywy człowieku! nie zobaczysz na mej twarzy ani śladu zmieszania, nawet najmniejszego zadziwienia! Pomysławszy tak, jejmość Griebłowa pogładziła obu rękami fartuch, a podszedłszy ku drzwiom, skłoniła się uroczyście i z uśmiechem porozumienia, wskazała na pokrajane już ciasto.

— Ale to nie to jeszcze, któreś pan obstałował u mnie, panie kochany — kołacz weselny będzie inny wcale...

Henryk rozśmiał się wesoło.

— O! na tamto jeszcze czas... Najpierw obchodzimy uroczystość zaręczyn, wszak prawda, panie Agnieszko?

Następnie przedstawił urzędownie swą narzeczoną, Griebłowej i Ludwisi, podczas czego Hanna miała nie mało kłopotu, aby powstrzymać małych bosaków, którzy natrętnie tłoczyli się, chcąc przypatrzeć się pięknej narzeczonej w białej sukni.

A i ona nie pozostała bezczynną. Natychmiast zdjęła rękawiczki i pomogła Ludwisi rozdzielać ciasto pomiędzy dzieci, narzeczony zaś pochwycił klucze i po chwili powrócił z piwnicy, niosąc kilka podługowatych butelek. Każde z zajądających dzieci otrzymało szklaneczkę reńskiego wina; potem dziedzic wytrząsał ze sakiewki stopy drobnych pieniążków w ręce pięknej narzeczonej, aby rozdzieliła je pomiędzy rozradowanych maleców. A podczas gdy ona stojąc na progu, otoczona tłoczącą się dziatwą, w pół śmiejąc się, w pół łając, pilnowała porządku i sprawiedliwego podziału — Griebłowa przypatrywała jej się uważnie. Te

małe, drobne rączki wydawały się dziwnie ciemne i opalone przy białych, muslinowych rękawkach; na szyi pod koronkową fryzką połyskiwał złoty dukat, zawieszony na aksamitnej tasemce, a piękna twarz — no, wszak sama powiedziała to raz głośno, że ta twarz jest piękna. Teraz przecież mądra kobieta nie powiedziała nic, o! ani jednego słowa, tylko trąciwszy szklanką w szklankę pana dziedzica, wypila toast na pomyślność młodej pary.

A gdy później wraz z narzeczonymi weszła na pierwsze piętro — ponieważ Agnieszka pragnęła zobaczyć balkonowy pokój — wówczas wskazawszy ręką portret nieboszczki nadleśniczowej, odezwała się z tajemniczą miną:

— To była pierwsza miłość narzeczonego pana w Hirschwinklu. O tak! nasz młody pan formalnie zakochał się w tym obrazie i powinna pani teraz być zazdrosną, gdy spotkasz gdzie, już nie na płótnie, takie kędzierzawe loczki...

— Mylisz się, szanowna pani — odpowiedział Henryk, śmiejąc się. — Nie chodzi tu wcale o loczki i urok tej twarzy dopiero wtedy podziałał na mnie, gdy wpatrzyłem się w głębi duszy tej rzadkiej kobiety. — Zwrócił się ku narzeczonej, mówiąc dalej: — Tak delikatna, eteryczna i na pozór słaba, a pomimo to dusza pełna siły i energii! Tu po raz pierwszy dowiedziałem się, że takie cudowne połączenie istnieć może i następnie też spotkawszy je w żywej istocie — pokochałem.

Młoda dziewczyna, którą w tej chwili z tklivością całował w rękę, nigdy za życia swej starej przyjaciółki nie była w Hirschwinklu, ale ta ostatnia bywała niegdyś często w Gelsungen, gdzie poznała i tak serdecznie pokochała synowicę i wychowankę państwa posesorskiego, że jej ostatnia myśl na ziemi była o niej. Uczyła ją w tej myśli zaufaniem najwyższemu, złożyła w niej świadectwo swego szacunku dla szlachetnej młodej istoty, której niepospolity charakter poznała. Teraz też Agnieszka oglądała się ze czcią wdzięczności pełną w miejscu pobytu tej dobrodziejki swojej.

— Za życia nieboszczki pani Nadleśniczowej ten pokój wydawał mi się zawsze pięknym tak sobie... ot, jak cacko. Pełny był kwitnącej rezydery i alpejskich fiołków, a około Wielkiejnocy stały już konwalie na oknach i tulipany jak w najpiękniejszej oranżeryi — mówiła tymczasem Griebłowa. — A jednak nieboszczka mimo to, że bawiła się w takie rzeczy, pracowała i umiała być co się zowie gospodynią. Ale co to ja chciałam powiedzieć... Ach, prawda, prawda! Otóż, panie kochany, dla gości pana nie bardzo będzie wygodnie tu na górze — jest trochę za mało miejsca...

— Nie przerażaj mnie, łaskawa pani Griebel zawołał Henryk. Właśnie chciałem cię zawiadomić o jednym jeszcze mieszkańcu — syn pana posesora powrócił.

— Co znowu! Ten z kraju złota?

— Tak jest, ten sam. Ale jest chory, trzeba więc będzie wyznaczyć mu wygodne mieszkanie. Ja również pozostanę w Hirschwinklu, dopóki tylko będę mógł. Koniecznie musisz pani znaleźć miejsce dla nas wszystkich.

— Naturalnie, że muszę. Ale spuść się pan na mnie — to już moja rzecz. Pana umieszczę na dole, co zaś o innych; pomyślę...

Okna narożnego pokoju w leśniczówce nie były już zasłonięte roletami, a dzieci z Tillröde którzy teraz wabiły nieprzeliczone jagody w lesie, widziały codziennie parę narzeczonych, przechodzącą w odwiedziny do domu gajowego. Chory nadzwyczaj szybko powracał do sił. Wprawdzie z początku czuł się bardzo nieszczęśliwym; biedak miał nadzieję, że nigdy nie spotka dzie-

dzica, który go widział w tak rozpaczliwym położeniu, nawet w ostatnich przytomnych chwilach przed wybuchem choroby, zaklinał Agnieszkę i gajowego, aby w żadnym razie nie zdradzili jego obecności, gdyż koniecznie pragnął zatrzeć się w pamięci mieszkańców dworu... Ale teraz Henryk codziennie przechodził do jego łóżka i pielęgnował go wraz z Agnieszką, a serdeczne, prawie braterskie zachowanie się jego usunęło stopniowo z duszy Ottona przykre uczucie upokorzenia. Jednak głównie ożywcza pociecha wywarła na niego wiadomość, że folwark miał otrzymać na dziedzictwo i w ten sposób mógł zabezpieczyć przyszłość własną i rodziców. Od tego dnia podniósł się fizycznie i moralnie i z każdą chwilą stawał się zdrowszym i silniejszym.

To była jedna część zadania, którego ciężar Henryk zdjąwszy z ramion ukochanej przeniósł na swoje własne barki. Druga okazała się daleko trudniejszą. Posesor w żaden sposób nie dał się zachwiać w głębokiej wierze co do kalifornijskich milionów. Na każde wyrzeczone słówko powątpiewania, uśmiechał się szyderczo, gdy mu napomykano, jak często wyprawy po złote runo zawodzą a jego pełne złośliwości i gniewu odpowiedzi przekonywały dowodnie, że podejrzewał wątpliwych o nieżyczliwość i zawiść. Dopiero gdy mu młody dziedzic powiedział — w dniu, w którym Otto wsparty na jego ramieniu pierwszy raz wyszedł na świeże powietrze — że gajowy otrzymał list od jego syna z bardzo smutnymi wiadomościami — zacięty starzec zmieszał się i spokojniał. Od owego czasu przestał już mówić o Kaliforni i jej milionach i tak zbliżał się termin mniemanego powrotu syna i stopniowo zawiadomiono rodziców, że Otto nie przywoził ze sobą nic, oprócz serca pełnego najtkliwszej dla nich miłości i silnej woli zapracowania na utrzymanie ich starości. I tu również wiadomość o niespodziewanym spadku po nieboszczce nadleśniczowej stała się gojącym balsamem.

— No, niech będzie i tak, gdy inaczej być nie może! — rzekł p: posesor ze słodko-kwaśną miną, ale biedna jego żona wylewała łzy radości...

A nie tylko w duszach ludzkich odbywały się przemiany różne. Od niepamiętnych już czasów nie rozlegał się taki hałas w cichym za zwyczaj Hirschwinklu. Na folwarku roily się tłumy robotników. Jedni karczowali znaczny kawał lasu, drudzy rozbierali przyległe mieszkalnemu domowi stajnie i obory, inni wreszcie zwozili materiały do nowej budowy. A i we dworze było najmniej ruchu i wrzawy. Przewietrzano meble, otrzepywano z kurzu dywany, a Griebłowa dziekowała Bogu, że Ludwisia z powodu przebudowy instytutu miała dłuższe wakacje i mogła pomagać matce. Wśród całego tego zamieszania nadeszły jeszcze zamówione z Berlina przesyłki: fotel na kółkach dla pani posesorowej, wygodne meble do przyszłego dworku na folwarku i wreszcie — Henryk śmiał się sam, pomagając przy wypakowywaniu — przesłiczny, kosztowny fortepian wstawiono do balkonowego pokoju. Tam miał pozostać na zawsze, aby młoda małżonka podczas przyszłych letnich pobytów w Turyngii nie zapomniała muzyki.

— No widzisz pan, jak to się zmieniają ludzie — odezwała się z mentorską miną zacna Griebłowa, gdy ustawiono piękny instrument. — Zaraz z początku dałeś mi do poznania, że nie możesz znieść gry na fortepianie. Naturalnie, moja Ludwisia nie dotknęła klawiszy, gdy znajdowałaś się w domu, lubo nieraz miała wielką do tego ochotę, a i ja stara posłuchała bym była chętnie moich ulubionych kawałków, a oto teraz, za drogie pieniądze sprowadzasz pan ze stolicy nienawistny fortepian, i łamiesz sobie głowę nad tem jak go ustawić, aby głos wydał się jak najkorzystniej.

Służąca posesora Arkusz 17.

I to dla tego, że kochasz pan rączki, które mają grać na nim. Ale muszę wykluczyć się z panem o co innego. Nie pozwalasz otworzyć pokoiów nieboszczki pani nadleśniczowej. O mój miły Boże, co by to było, gdyby wszędzie zamykano na zawsze mieszkania zmarłych, wraz z wszystkim, co się w nich znajduje? Świat cały stał by się wkrótce wielkim składem pamiątek i ostatecznie ludzkość musiała by ustąpić miejsca widmom. I ja nie jestem bez serca i sama zachowałam kilka pamiątek po nieboszczce, a i po nieboszczce nadleśniczowej, ale to trudno: umarli muszę ustąpić miejsca żywym — taka już kolej rzeczy. Oto spojrzysz pan tylko, jak by tu było wygodnie i przestronnie, choć by przybyło dziesięciu synów posesora z Kalifornii!

Mówiąc to, otworzyła drzwi po lewej stronie sieni, ukazując piękny szereg pokoi. I miała zupełnie słuszną — połączywszy obie strony, uzyskałoby się przestronne i wygodne mieszkanie, zupełnie wystarczające dla wszystkich przyszłych gości. Pomimo to dziedzic milczał, stojąc w drzwiach zachmurzony.

— A już jest największy czas, aby jaki rozsądny człowiek wszedł nareszcie do tego grobu — mówiła dalej stara imość, wcale nie zważając na zły humor młodego pana. — Gdyby nieboszczka pani zobaczyła, jak tu muszą rozgospodarować się z czasem mole i myszy, to sama wydałaby rozkaz, aby pustynia została zamieszkaną. A zresztą proszę powiedzieć, co to będzie, gdy później kiedy przybędziesz pan w lecie do Hirschwinklu z rodziną? Wówczas biedne wnuczeta p. Nadleśniczowej będą musiały żyć w ciasnocie dla wygodności moli. To będzie prawdziwie piękna historia!

Ten ostatni argument rezolutnej kobiety wywarł stanowcze wrażenie — Henryk chcąc nie chcąc, musiał ustąpić i zgodzić się na wszystko.

Stało się to rano tego samego dnia, w którym rodzina posesora miała się przenieść z folwarku do dworu. Na górze było już wszystko w pogotowiu. W balkonowym pokoju jaśniało pełno najpiękniejszych kwiatów; a komnaty połyskiwały od czystości i woniły świeżością.

Musiano gorliwie zajmować się przygotowaniem, już bowiem oczekiwani goście byli na podwórzu, a tylko Sultán powitał ich głosem szczykaniem, zresztą nie widać było żywej duszy. Henryk pierwszy wszedł z narzeczoną do sieni, i dopiero otworzyły się drzwi mieszkania i wybiegła wystrojona p. komissarzowa, a za nią Ludwisia.

— A to piękna rzecz! — zawołała zmęczona

imość. — O włos, a była bym spóźniła się z powitaniem, choć mam w głowie wcale piękną mowę. Ale to przyczyna wszystkiego. Mówiąc to, pokazała zgubiony dukat Ludwisi, wiszący na aksamitnej tasimce. — Wyobraź pan sobie, panie Henryku, znalazłam to za komodą przy przenoszeniu mebli. Hanna utrzymuje, że wrzuciła go tam niegodziwa Różia i to jedynie dla tego, abyśmy myśleli, że biedak, który przemocował w żołnierskiej kwaterze był włóczęgą i złodziejem. Patrz pan, co to za szkaradna złość — nieszczerliwy ten człowiek nie wyrządził jej przecież żadnej krzywdy.

— Och, jak można go było posądzać? — zawołała Ludwisia z żywością. — Wyglądał na dobrego i szlachetnego człowieka. Miał tak łagodne, niebieskie oczy... — Zamilkła nagle i splonęła żywym rumieńcem. Na progu sieni, zaledwie o parę kroków od niej ujrzała wysokiego, bladego nieco młodzieńca. Był elegancko ubrany, miał powierchowność bardzo przystojnego człowieka, a na czysto wygolonej jego twarzy ukazało się odbicie rumieńca, jaśniejącego na licach jasno włosów dziewczyny.

Prowadził on pod rękę posesora. Stary wypocząwszy przez chwilę na najwyższym stopniu kamiennych schodków, wszedł do sieni, pogłaskał Ludwisię po głowie, poczem przedstawił jej zacnej mamie nieznanego, jako swego syna, który właśnie powrócił z dalekiej podróży, odbytej dla poznania świata, jak przystało na młodzieńca jego stanu. Przyjechał wczoraj wieczorem wprost z Bremen...

W tej chwili przed kamienne schodki przytoczono fotel na kółkach. Gajowy uprosił sobie, aby on mógł zająć się przeniesieniem chorej pani. Otóż teraz wziął ją na ręce jak małe dziecko i zaniosł na górę do balkonowego pokoju, gdzie smaczna uczta oczekiwała nowoprzybyłych.

Co tu dodać więcej: czy nie ten stary jak świat aforyzm, że życie może być pięknem i szczęśliwym, gdy mu świeci słońce miłości, załagadzając spory, ucisząc burze, poprawiając, uszlachetniając serca, rugując przesady.

Henryk też od tygodnia do tygodnia odkładał swój odjazd, a Ludwisia z wzruszającą naiwnością wyjawiała życzenie, aby przebudowanie instytutu nigdy się nie skończyło. Nie grywała już teraz marszów, lecz Mendelssohna „Pieśni bez słów”, i tym podobne sztuki, ale najchętniej teraz śpiewała a głos jej stawał się coraz słodszy w wyrazie uczuć tkliwych. Nareszcie nadszedł ostatni

wieczór pobytu młodego dziedzica w Hirschwinklu. Jutro musiał już odjechać, aby poczynić przygotowania do ślubu swego z Agnieszką. Wszyscy znajdowali się na górze, jak zwykle w balkonowym pokoju. Posesor, jego żona i Piotr Griebel grali w wista z dziadkiem; narzeczoną nalewała herbatę, Griebelowa smarowała skibki chleba przy bocznym stoliku, podczas gdy Ludwisia siedząc przy fortepianie, śpiewała z tkliwym uczuciem cudowną piosenkę Małgosi. — „Zniknął mój pokój.” Młody Otto Franz zajął miejsce tuż obok niej, tak że mógł patrzeć na piękną twarzyczkę jasnowłosej dziewczynki, co też czynił, niespuszczając z niej oka.

Dziedzic zbliżył się do zajętej mamy dobrodziejki i uśmiechając się wesoło, wskazał jej córką młodą parę.

— Co byś powiedziała na to, szanowna moja opiekunko, gdyby 15 Września zamiast jednego ślubu, odbyły się dwa w parafialnym kościele w Tillerode?

— Że to trochę za wcześnie, p. Henryku — odrzekła wcale niezmięszana, smarując dalej skibki. — moje dziecko jest jeszcze zbyt młode, a porządna wyprawa nie da się wykończyć w tak krótkim czasie. Co pan chcesz?... to wymaga nie mało zachodów. Zresztą nie mam nic przeciwko temu. Otto jest zaenany i pracowity chłopiec i nie możemy pragnąć lepszego zięcia. Moja Ludwisia jest dobra a przytem zdrowa, świeża i pracowita jak mało, będzie więc wzorową gospodynią. A w kufurze Griebelów nie jest znów zupełnie pusto. Oboje z Piotrem jesteśmy starzy i oboje przez całe życie pracowaliśmy i oszczędzaliśmy gorliwie. Otóż, jak powiadam, nie byli byśmy od tego, aby postanowić nasze dziecko, ale — pochyliła się ku dziedzicowi, szepecząc cichutko: — ktoby się tego domyślił wówczas, gdy leżącemu na gościńcu pchała bułkę do ręki?

Henryk rozśmiał się wesoło.

— A więc domyśliłaś się tego pani?

— No, ma się rozumieć — i ja i moja Ludwisia. A nawet ona najpierw. Od pierwszego spojrzenia poznała że to on, pomimo zniknięcia rudej brody. Kto by to przypuścił? Ludwisia, ta mała, niewinna osóbką, zaledwie wyrosła z mundurka pensyonarki. Ale miłość ma bystre oczy; wprowadzie pod innemi względami jest ona na wszystko, co ją otacza, ślepą i głuchą. — A czyż nie tak działo się z panem, panie Henryku... Wodziono cię na pasku, grając z tobą w ślepą babkę...

K O N I E C.

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dokończenie).

— Pierwszy, który się tylko poruszy, jest trupem! — oświadczył Dzikie Ir spokojnie, lecz z taką powagą, z tak niezłomnym postanowieniem, że wszyscy pozostali na miejscach. Był panem położenia, ponieważ miał za sobą balkon, a pod nim głębie wody. Więc też głosem zimnym i szyderezym dodał:

— Porozmawiajmy trochę. Dwadzieścia tysięcy funtów, to nędzota w porównaniu do skarbów ukrytych w podziemiach tego zamku. Otóż przeznaczyłem je dla was, moi panowie. Przeszło czterdzieści ogromnych i pełnych beczek!

— Pełnych złota? — zawołał z chciwością półkownik ułanów. — Ach, ach, panowie, to w istocie zasługuje na uwagę. Jeżeli w taki sposób pragnie okupić siebie i swych współników, z mej strony żądam, abysmy wysłuchali go.

Dzikie Ir nie potwierdził przypuszczenia, uśmiechnął się tylko szyderezem.

— Dziękuję — rzekł. — Byłem pewny, że mi dacie audyencję, szczególnież też zacny pan baron. Złoto jest twym Bogiem! Dla niego przybyłeś do tego kraju i pozostajesz w nim rabując, paląc, mordując nieszczęśliwych bezbronnych mieszkańców. Co byś więc powiedział nikczemny żołdaku najemny, gdyby jeden z synów tego kraju postanowił ukarać cię wreszcie za twe ochydne zbrodnie?

Zmieszany Niemiec mruknął coś jak niedźwiedź, któremu wymknął się łup.

Lecz śmielszy od niego Irlandczyk, sir Jocelyn zawołał:

— Czyż nie widzicie, że ten człowiek z nas szydzi? Do mnie, strzelcy! Obijcie mi tego nędznego żebraka!

Jakób uśmiechnięty jak dotąd, pozwolił mu dokończyć.

Zapominasz, że twoi godni wojownicy są pijani — rzekł spokojnie — pijani krwią i winem jak podczas rzezi w Kildare! Och, kacie rodzinnego kraju, nędzny odstępczo, czyż nie obawiasz się, aby Stwórca zapytał cię nagle: — Kainie, co czyniłeś z twemi braćmi?

Niema nic strasliwszego nad gniew flegmatyków. Sir Jocelyn pochwycił nóż ze stołu i jak szalony zerwał się, aby się rzucić na nieznajomego.

— Zakazałem ruszać się! — rzekł Dzikie Ir i jednocześnie strzelił z jednego pistoletu.

Renegat padł uderzony kulą w sam środek czoła. Nikt już nie śmiał się, ani nawet generał, siedzący teraz pomiędzy dwoma trupami.

Nie zupełnie pijany, więcej czerwony niż zwykle, wytryszczał małe oczki, osłupiały z gniewu, że ośmielono się w ten sposób przerwać mu czynność trawienia.

Jakób, piękny spokojną odwagą i powstrzymanym szlachetnie gniewem, mówił dalej.

— Teraz, na nas kolej, milordzie. Och, musi to być pojedynek bez pardonu i wytchnienia, pojedynek pomiędzy dwoma plemionami, które my tu przedstawiamy: pan, zaborez Anglię, ja, uciśnioną Irlandyę!... Wojna trwa już od ośmiu wieków! Osiem wieków spustoszeń, łupiestw, mordów i okrucieństw takich, jakich nie można spotkać w dziejach żadnego innego kraju! Niegdyś moja ojczyzna była bogatą i szczęśliwą. Na całą Europę rozsyłała świętych apostołów i bohaterów. Lecz przyszliście wy, tysiące przeciwko jednemu. Zgnieśliście nas, skrupowali, zabierając rolnikom ziemię, starcom ich domy, dzieciom ich kołyski, całemu ludowi godność narodową i wolność! Powietrze, którem oddychamy, zaraziście jadłem niewoli! Chcieliście ukraść nawet naszego Boga! Gdy się skarżono, gdy powstawano, odpowiadaliście rzezią i szubienicami! Zabór wasz miał od początku cel wytopienie całego ludu. Czyście mieli litość dla nas za czasów Tudorów, albo Stuartów, za Cromwella, pod dynastją Oranii, wczoraj, dziś?... Nie! Nigdy! Mieć dla was uczucie ludzkie? To by było głupstwem i grzechem! Dowiedz się więc, że owe czterdzieści beczek, które znajdują się tu, pod naszymi stopami, nie zawierają złota, lecz... proch!

— Tak! — zawołał znów dalej, patrząc do koła — proch! I już od kwadransa przeszło zapalony lont pali się, coraz bardziej zbliżając się do miny, która wysadzi w powietrze ten stary zamek!

Przerażeni, przejęci zgrozą biesadnicy zerwali się z miejsc, jak niegdyś owi inni z uczty Baltazara, gdy spostrzegli straszne: Mane, Tekel, Fares, ognistymi literami wypisane na murach.

— Już zapóźno! — zakończył Jakób, wskazując ręką na zegar. — Już za późno, powiadam wam! Gdy skazówka dojdzie do pół do pierwszej, zamek Granagh stanie się wulkanem w pełni wybuchu. Pozostaje więc wam nie cała minuta!

Homspach ożywiony nagłą nadzieją, zawołał:

— Och, to nie prawda! Chce nas tylko przestraszyć, bo inaczej, czyż by tu przyszedł?

— Jestem tu — odparł Dzikie Ir z dumą — ponieważ powinienem i chcę podzielić wasz los. Taki człowiek, jak ja, nie skazuje na śmierć trzech tysięcy swych bliźnich, chyba pod warunkiem, że wraz z nimi stanie przed trybunałem Najwyższego Sędziego, mówiąc: — Sądź nas, o Panie, i ich i mnie!

Skazówka doszła do oznaczonej pół godziny i zegar miał już uderzyć.

— Patrzcie! — zawołał Dzikie Ir. — Już bije godzina śmierci!

Nagle Unkas wskoczył z balkonu do sali, z szybkością błyskawicy pochwycił w pół swego pana, wrzucił go w staw i prawie jednocześnie wpadł za nim w wodę.

Był już czas. Rozległ się głuchy huk i zaraz po nim wybuch straszliwy, okropny, podobny do grzmotu tysiąca dział.

Mina wybuchnęła, wyrzucając w powietrze wraz ze wszystkimi szczątkami słupy płomieni, kłęby dymu i miliardy żarzących iskier.

Jakób dobrze powiedział — był to prawdziwy wybuch wulkanu.

Potem z przerażającym trzaskiem to, co pozostało ze starego zamku zapadło się, zagrzebując pod gruzami wszystkimi, którzy przyjmowali udział w uczcie wydanej na obchód zwycięstwa.

Zaledwie kilku ludzi oszalałych z przerażenia zdolało uciec. Ale od tej chwili zdawało im się na zawsze, że ziemia wciąż jeszcze drży pod ich stopami.

Nikt, aż do samego świtu nie ośmielił się zbliżyć do tego grobu tysięcy, oprócz biednych powstańców, schronionych na bogu Granagh.

Zrozumieli oni sygnał i jak niegdyś Izraelici,

przebywający przez morze Czerwone, tak i oni przeszli suchą nogą przez morze zguby, które się rozstało przed nimi.

E p i l o g.

Następującej wiosny na okręcie, zowiącym się Hoche, Tankred przybył do Dublina.

Udał się wprost do pałacu Leinster i znalazł go zamkniętym.

Już od trzech miesięcy księżna umarła.

Kornelia i Łucya znajdowały się w Kildare.

Gaillefontaine zamówił konie, lecz niecierpliwie pragnący wiadomości udał się wieczorem do klubu literatów.

Lord Cornwallis dotrzymał słowa. Amnestya szczerza i prawie ogólna, oraz łagodniejsza administracja pozwalały żywić nadzieję, że wreszcie nadejdą lepsze czasy dla Irlandyi.

O' Connel wcale nie rozpaczał o przyszłości. Widział z bliska okropności wojny domowej i wiara jego w pokojową reformę wzrosła jeszcze z czasem.

— Prawo i sprawiedliwość — mówił do wicehrabiego — musi odnieść tryumf, ale nie przez siłę pięści.

Studyował, przygotowywał się do walki, stokrój świetniejszej, która w dwadzieścia lat później okazała w nim bohatera.

Humbert i jego żołnierze pozostawali w Anglii jako jeńcy wojenni, lecz pokój miał wkrótce dać im wolność i wrócić ich ojczyźnie.

Doktor Slowius Jumble wydał swe dzieło w Amsterdamie.

Przybywając do dworu w Kildare, wicehrabia ujrzał dwoje dzieci Fitz-Geralda, bawiące się na murawie.

— Ich ojciec czeka na nie — odezwał się do Pameli. — Za osiem dni powracam i zabieram ze sobą panią i dzieci.

Następnie zwrócił się do Łucyi.

W żałobnym ubiorze wdowim wydawała się jeszcze piękniejszą, gdy ich oczy się spotkały, zaświeciła radość, lecz oboje nie śmieli mówić.

I Kornelia również ubrana była w suknie żałobne.

— Więc nie masz pani jeszcze wiadomości o Jakóbku — zapytał ją Gaillefontaine.

— Jakób zginął w zamku Granagh — odpowiedziała z ciężkim westchnieniem.

Rzecz szczególna... Tankred uśmiechał się słodko na te słowa!

— To jeszcze legenda! — odezwał się wreszcie. — Prawda zawiera się w liście, który, jak widzę, nie doszedł pani. Jestem szczęśliwy, że pierwszy

przynoszę dobrą wiadomość. Okaż się pani tak silną przyjmując radość, jak mężnie zniosłaś najwyższą boleść. Unkas ocalił swego pana i przywiózł go ze sobą do Ameryki. Obiecałem sprowadzić i panią do męża.

I jako dowód swego posłannictwa podał jej gałązkę wrzосу.

Gdy po chwili wzruszenie Kornelii uspokoiło się, Łucya spoglądając smutno na swą wierną towarzyszkę, szepnęła:

— A więc i ty, siostró, opuścisz mnie także?

W błękitnych jej oczach przebiegała bolesna myśl:—Niestety, więc ja tylko jedna pozostanę tu. Sama, sama jedna!

Wicehrabia chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł—usta mu drżały wzruszeniem. Oddał tylko młodej wdowie, a zarazem dziewczęciu list.

— Przeczytaj, milady, co pisze twój brat... przeczytaj...

Przy pierwszych zaraz wyrazach listu żywy rumieniec zapłonął na pięknej twarzy Łucyi. Potem zbladła śmiertelnie i podniósłszy oczy, ośmieliła się spojrzeć na Tankreda.

Cały drżący słodką nadzieją, wyciągnął ku niej rękę, a ona szepnęła.

— Och, nie ja odpowiem, nie ja. Chodź pan!

Zaprowadziła młodzieńca do kaplicy, w której niegdyś Fitz-Gerald powrócił do życia. Gaillefontaine siedł za nią, nie nie pojmując jeszcze.

Wznosił się tam nowy grobowiec z czarnego marmuru.

Na nim znajdowało się jedno tylko imię:

Reginald.

— Przeczytaj pan z kolei—odezwała się młoda wdowa—ten ustęp z jego testamentu.

Oczy Tankreda spotkały następujące słowa:

„...Zdaje mi się, że wicehrabia Gaillefontaine kocha cię tajoną miłością. Jest to jeden z ludzi, których wysoko poważam. Będiesz szczęśliwą z nim, jestem przekonany o tem. Zostań jego żoną, Lucy moja, proszę cię o to — umarli nie są zazdrośni...”

I tym razem ze słodką łzą wzruszenia złożyła rękę w dłoń wicehrabiego.

— Stało się tak, jak może było powinno. Ten którego pamięć czczę, którego los opłakałam szczerze i gorąco, nie był jednak małżonkiem dla córki Fitz-Geraldów—Anglik...

W tydzień później na pokładzie okrętu Hoche stały obok Tankreda trzy młode kobiety i dwoje dzieci, które śmiały się wesoło.

Był tam i Tony, wierny murzyn Edwarda, a nie daleko od tej grupy stało siedmioro dzieci, ubranych w nowe sukienki, otaczając piękną czarownicą wieśniaczkę w stroju narodowym irlandzkim, za młodą jeszcze, aby miała być ich matką.

Była to Peggy, narzeczona Pata.

Ukrywała ona pod szalem, jako rzecz nadwyzczaj drogą, małą doniczkę, w której przecież widać było tylko kilkanaście zielonych kielków.

— Cóż to moje dziecię bierzesz ze sobą na obczyznę?—zapytał ją zaciekawiony wicehrabia, a ona podnosząc na niego oczy lez pełne, rzekła:

— Wiozę w krainę wygnania zielony krzak konieczyny, i trochę ziemi irlandzkiej! Eryn go bragh!...

W Ameryce znajduje się malownicza i żyzna dolina, w której dotąd żyją potomkowie większej części osób, występujących w naszej opowieści.

Rodziny ich zamieszkują dwie piękne, bogate wioski, założone jedna niedaleko od drugiej, a obecnie połączone ze sobą.

Jedna z nich nosi nazwę Gaillefontaine, druga Kildare.

K O N I E C.

OD REDAKCYI.

W przyszłym dodatku do „Bluszczu” rozpoczętym zostanie druk powieści, przełożonej z angielskiego pod tytułem:

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

przez autorkę „Stefana Lawrence.”